EPOKA

ROK VI. Warszawa, 15 maja 1939 r. ROK VI. Nr 14 (153)

Goebbelsowi trzeba odpowiadać

Weszliśmy w okres „wojny nerwów“. Milczą narazie armaty i karabiny maszynowe, zato gęsto, bez przerwy strzelają rakiety propagandowe, artykuły dziennikarskie, audycje radiowe. Raz wraz: sensacja, raz wraz: nowy, groźny gest, raz wraz: inny alarm czy inna plotka. Wszystko ma tu swój sens i cel: wyczerpać nerwowo przeciwnika, zmęczyć go, uczynić podatnym na podszepty tych czy innych rzeczników kapitulacji. P. Goebbels zna swój fach; niedarmo od sześciu lat trzyma się na odpowiedzialnym stanowisku ministra propagandy Rzeszy, tolerowany na nim, mimo swych, mocno gorszących dla purytanów partyjnych Rosenberga, eskapad nocnych i dziennych, o których nieraz głośno jest w prasie światowej... P. Goebbels zna swój fach...

Cały jego aparat „gra“ teraz w naszym kierunku. To nie tylko radio niemieckie, czy prasa zglajchszaltowana w Polsce, mająca na celu przekazanie katowickim lub pomorskim Hansom i Fritzom poleceń „Wodza“. To nie tylko huragan prasowy, usiłujący wmówić chłopom bawarskim, robotnikom z nad Ruhry czy z berlińskiego Weddingu, poczciwym mieszczuchom Palatynatu, że to właśnie Polska, w służbie angielskiej „polityki okrążenia“, z polecenia „żydowsko-marksistowsko-plutokratycznych podżegaczy wojennych“, grozi Rzeszy Niemieckiej wojenną pożogą. To nie tylko berlinternowskie szmaty w Paryżu i Londynie, różne „Daily Mail“ i inne „Matin‘y“, tak delikatnie, cichutko podsuwają światu myśl: a może by tak raz jeszcze spróbować z Monachium. Obok tych, mniej lub bardziej wyraźnych imprez, działają i inne, delikatniejsze znacznie, „robótki“.

Więc puszcza się historie o proponowanych przez kogoś „konferencjach pokojowych“, mających oczywiście załatwić sprawę „kompromisem“ — tak jakby mogła być mowa o kompromisie tam, gdzie jeden chce panować a drugi — zachować swą niezależność. Zaczyna się opowiadać o zaletach „pokojowych, dyplomatycznych pertraktacji“, o znaczeniu dojścia do porozumienia „na drodze negocjacji“, jakby ktokolwiek Niemcom przeszkadzał teraz negocjować i jakby od formy negocjacji, a nie od treści zawartego ostatecznie porozumienia zależała jego rzeczywista wartość dla pokoju. Te wszystkie historie i tricki wywołują pewną dezorientację wśród czytelników prasy: trzeba sobie zdać z tego sprawę, że w pewnych kołach powstają złudzenia, iż mgła dyplomatycznych frazesów może często przysłonić zrozumienie jasnej, prostej rzeczywistości: tej mianowicie, że żądania niemieckie, jak je sformułował pan kanclerz Rzeszy Niemieckiej w swym przemówieniu z 28 kwietnia br. nie są dla Polski do przyjęcia, ani w formie dyktatu, ani w formie „życzliwego“ porozumienia, że Polska nie może się zgodzić ani na włączenie Gdańska do Trzeciej Rzeszy, ani na „eksterytorialny“ pas niemiecki przez Pomorze, niezależnie nawet od tego, czy pas ten mieć ma szerokość dwudziestu pięciu, czy choćby jednego tylko kilometra. To jest prawda zasadnicza, której nie wolno dać zaciemnić w żaden sposób; ani przed własnym narodem, ani przed naszymi przyjaciółmi i sojusznikami z zachodu. I tutaj staje olbrzymie zadanie, zadanie, które musi być wypełnione nie tylko przez powołane organy państwowe, ale przede wszystkim i w pierwszym rzędzie,

przez wszystkie obozy polityczne i całą niezależną publicystykę polską.

Stanowisko naszego społeczeństwa w ostatnich tygodniach zasługuje na jaknajwiększą pochwałę. Powstał przecież — niepisany, nieomawiany, a przecież rzeczywisty — zwarty front wszystkich odpowiedzialnych, zakorzenionych w społeczeństwie, kierunków politycznych w przeciwstawieniu się hitlerowskim pretensjom. Spotkały się na jednej platformie oporu obozy, które stały od lat w ciężkiej, zażartej walce. Nieliczne, z jednej tylko zresztą strony pochodzące, próby zdyskontowania trudnej dla kraju sytuacji na swój partyjny rachunek — spotkały się z głuchą niechęcią społeczeństwa. Entuzjastycznie zato zostały przyjęte wszystkie kroki, mające na celu wzmocnienie spójni rzeczywistej, łączącej w tej chwili wszystkich obywateli — by wspomnieć tylko skład Komitetu Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej. „Masy", „doły" organizacyjne wszystkich niemal kierunków udzieliły bezwzględnego poparcia „oporowemu" stanowisku swych „gór". Kto był na obchodach pierwszo-majowych, kto słuchał okrzyków i oklasków, ten wie, że jeśli idzie np. o socjalistycznych robotników, gotowi oni są stanąć w pierwszych szeregach walki z brunatnym niebezpieczeństwem i że, jeśli coś ich drażniło, to fakt, że tej swej gotowości nie mogli proklamować jeszcze głośniej, poza zasięgiem zebraniowych sal. Wieści z kraju, wieści z „terenu" potwierdzają, że w chwili obecnej, niemal bez wyjątków, całe społeczeństwo jest zjednoczone jedną wolą oporu. Potwierdza to zresztą i wynik Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej, której subskrypcja ma być uzupełniona tylko jeszcze przez jedną grupę społeczną... wielką własność rolną.

Ale mimo tego — zdaje się, że frontowi wewnętrznemu trzeba poświęcić więcej uwagi. Wróg nie śpi. Wróg czuwa. Kręci się po przysłowiowych „maglach", po knajpkach i cukierenkach, puszcza plotki, próbuje siać panikę. Insynuuje chytrze: czy warto? O jedno miasto? Robota p. Goebbelsa narazie natrafia w Polsce na bardzo nieurodzajny, niezwykle kamienisty grunt. Ale nie ma takiego kłamstwa, nie ma tak bezczelnego fałszerstwa, w które by w końcu ktoś nie uwierzył, zwłaszcza, gdy się je powtarza wielokrotnie i — bez kontrargumentów.

Dlatego w chwili obecnej nie wolno spoczywać na laurach. Kampanii propagandowej niemieckiej trzeba przeciwstawić kampanię swoją, kampanię prawdy. Nie znaczy to, jak się marzy niektórym młodzieńcom, wczoraj jeszcze z podziwem terminującym w szkole p. Goebbelsa, że na jeden imperializm trzeba odpowiadać drugim, że trzeba żądać Szczecina, Wrocławia, Berlina. Nie, o tym mowy być nie może, chociażby dlatego, że „żądania" takie osłabiają tylko pozycję Rzeczypospolitej. Ale słuszne stanowisko Polski trzeba popularyzować jaknajszerzej i jaknajgłośniej. Trzeba tłumaczyć, długo i cierpliwie, szczegółowo i wielokrotnie, dlaczego oddanie Gdańska, oddanie choćby jednej ulicy w Gdańsku grozi niebezpieczeństwem dla niepodległości Rzeczypospolitej. Trzeba wyjaśniać, cierpliwie i bez ustanku, co oznacza skromniutkie niby żądanie niemieckiej autostrady przez Pomorze. Trzeba przypominać, ciągle i stale, jak to z żądania „powrotu do Rzeszy niemieckich Sudetów" wyrosło włączenie Pragi i Bratysławy do „obszaru życiowego" Trzeciej Rzeszy.

Nie dość, gdy tłumaczyć to będą tylko urzędowe źródła. Taka już jest rzeczywistość, że, w zagadnieniach politycznych, obywatele orientują się przed wszystkim zgodnie ze swymi przekonaniami politycznymi, orientują się zgodnie z ruchami masowymi, w których biorą udział. Tylko poprzez te ruchy może dojść stanowisko polskiej myśli politycznej najpewniej, najzupełniej, z największą dokładnością do szerokich rzesz ludowych. Przedstawiciel związku zawodowego zyska na fabryce więcej posłuchu od najwymowniejszego przedstawiciela dyrekcji. W walce o niepodległośc Rzeczypospolitej, w walce o odparcie propagandy p. Goebbelsa, oprzeć się przede wszystkim trzeba na tych, których rzesze ludowe przywykły uważać za przedstawicieli swego stanowiska: na kierownikach i organizatorach, na kadrach wielkich ruchów masowych, działających w Polsce. Nie czas dziś na partyjne uprzedzenia, na gotowanie na wielkim ogniu grożącego niebezpieczeństwa małej, partyjnej zupki. W propagandzie polskiej, zmierzającej do sparaliżowania psychicznego naporu wroga, do wzmocnienia sił narodu w toczącej się „wojnie nerwów" trzeba wykorzystać to potężne narzędzie, jakim są wielkie ruchy masowe.

Trzeba, aby na każde kłamstwo, każdą insynuację, każde fałszerstwo, jakie wyjdzie z berlińskiej kuźni, odpowiadał cały naród, aby każdy obywatel miał gotową na nie odpowiedź. Trzeba wzmóc czujność na najbardziej wyrafinowane chwyty niemieckiej propagandy. Trzeba paraliżować w zarodku próby poderwania **morale** obronnego kraju. Może to tylko zrobić szeroka, spokojna, ale stanowcza, oparta na współpracy wszystkich grup społeczeństwa, a przede wszystkim wielkich ruchów masowych, uparta, codzienna akcja propagandowa. Widzieliśmy ją po raz pierwszy z bardzo dobrym wynikiem — przy pracy w czasie Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej. Trzeba, aby ten dobry przykład znalazł zastosowanie i w przyszłości, przez cały czas toczącej się „wojny nerwów".

ROMAN LANG.

Razu pewnego pożar niszczył las. Stary wystraszony pień rzekł do nietkniętych jeszcze sosen: „Słyszałem, że diabeł ustępuje modłom ludzkim, skierowanym do niego. Gdybyśmy tak ukorzyli się przed ogniem, może okazałby się on równie wspaniałomyślnym, jak diabeł". Propozycja spodobała się bojaźliwym sosnom; ogień jednak nie tylko pożarł z szyderczym śmiechem głupie sosny, lecz zażądał oprócz dawnego prawa ognia jeszcze prawa ołtarza, czyli stałej ofiary z drzewa na poparcie przyobiecanych modłów.

JAN HENRYK PESTALOZZI

Nie ma takiej ceny ani rekompensaty, za którą Polska mogłaby się zgodzić na wcielenie Gdańska w takiej czy innej formie do Rzeszy — lub na utworzenie eksterytorialnej strefy pod autostradę niemiecką na Pomorzu. Przyjęcie przez Polskę którejkolwiek z tych „sugestii" berlińskich pozostałoby na zawsze jednostronną koncesją z naszej strony.

Dekada polityczna

„Polskie dni“. „Polskim tygodniem“ nazwał jeden z dziennikarzy zagranicznych tydzień ubiegły. I słusznie — nie tylko bowiem, że problemy związane z Polską, konkretnie problem pretensji niemieckich do Polski, wysuwały się na czoło polityki międzynarodowej w ubiegłej dekadzie, ale, ponadto, w dekadzie tej zostało określone w sposób definitywny i ostateczny stanowisko Polski wobec tych żądań. Mowa min. Becka, wygłoszona w Sejmie 5 bm. i memorandum Rządu Rzeczypospolitej do Rządu Rzeszy, doręczone tego samego dnia, a zawierające prawnicze sprecyzowanie tej mowy — dały światu pełny obraz pozycji Polski, obraz tym pełniejszy, że znalazły one w zasadniczej swej treści zupełne poparcie całej, bez żadnych wyjątków, opinii publicznej Polski.

Zdecydowane, spokojne, ale twarde stanowisko Polski wyjaśniło wszystkim, że nas nie można ani zastraszyć, ani przechytrzyć, ani wreszcie rozbroić, że pretensje niemieckie mogą być zrealizowane tylko drogą zbrojnego konfliktu. A konfliktu ogólno-europejskiego boją się i sami dyktatorzy, dobrze zdający sobie sprawę, iż musi on przynieść im nieuchronną klęskę. W chwili obecnej jesteśmy świadkami skomplikowanych manewrów osi, zmierzających właśnie do „lokalizacji konfliktu“, do osaczenia Polski. Osaczenie to, lokalizacja ta nie uda się z całą pewnością, ale dwuznaczność polityki niektórych kół monachijskich może zachęcić oś do akcji, z której nie będzie już żadnego wyjścia, poza apelem do broni. W tym właśnie fakcie tkwi główne niebezpieczeństwo chwili obecnej.

Mowa i memorandum. Oświadczenie min. Becka i memorandum, skierowane do rządu Rzeszy, nie pozostawiają żadnych wątpliwości co do tego, że Polska, nie idąc bynajmniej na jakieś awanturnicze formuły, lansowane przez niektóre grupy nacjonalistyczne, nie myśli zrezygnować ze swych praw, ze swej niepodległości i z całości swych ziem.

Polska nie chce i nie może rozluźniać więzów, łączących ją z mocarstwami Zachodu i nie zgodzi się nigdy, by jej polityka zagraniczna zależała od berlinskich inspiracji. Polska nie chce i nie może zgodzić się na to, by ujście Wisły i drugi z rzędu główny port Rzeczypospolitej znalazł się pod władaniem obcego mocarstwa, mocarstwa, które właśnie kilka tygodni temu dało w Pradze i Bratysławie dowodny przykład, jak bardzo szanuje ono swe, najbardziej nawet dobrowolne i najbardziej uroczyste zobowiązania — nie może pozwolić, by w Gdańsku stanęła zbrojną stopą brunatna Rzesza Niemiecka. Polska nie chce i nie może pozwolić na przeprowadzanie jakichkolwiek „eksterytorialnych“, to znaczy, znajdujących się pod niemiecką suwerennością, pasów przez ziemie polskie. Polska nie chce „handlować cudzymi interesami“, nie chce dzielić się z Rzeszą słowackim łupem. Polska odrzuca propozycje niemieckie gwarantowania jej tego, co Polska od dawna posiada, i woli, dla obrony swych spraw i swej niepodległości polegać na własnej sile. Takie stanowisko Polski, jednolicie poparte przez całe społeczeństwo polskie znalazło wyraz w obu zasadniczych deklaracjach rządu polskiego.

Stanowisko to jest jedynie słuszne z punktu widzenia interesów Polski. Ale jest ono niemniej słuszne i z punktu widzenia Europy, z punktu widzenia obrony pokoju europejskiego. Wbrew temu, co już usiłują podsuwać i sugerować usłużni pomagierzy Rzeszy z obozu monachijskiego — tylko przez zahamowanie brunatnej ekspansji, tylko przez zdecydowane odparcie każdej nowej próby totalistycznej agresji — a któż zaprzeczy, że żądania niemieckie stanowią nowy akt agresji? — może być uratowany pokój europejski. Stąd zrozumiałym jest, że mowa min. Becka przyjęta została z uznaniem przez całą opinię demokratyczną świata, z pianą wściekłości przez prasę mocarstw totalistycznych, z wyraźnym zakłopotaniem przez niepoprawnych monachijczyków, pragnących dalej karmić lwy totalizmu ludzkim — tym razem polskim — mięsem.

O co idzie Rzeszy? Istnieje, w niektórych kołach „monachijskich“ Zachodu złudzenie, że pewne mniejsze czy większe ustępstwa formalne Polski — powiedzmy w rodzaju zgody na lansowane przez Times-y przejęcie reprezentacji zagranicznej Wolnego Miasta Gdańska przez Rzeszę — pozwoliłyby Europie uniknąć krwawego konfliktu. Są to oczywiście naiwne złudzenia.

Nie o Gdańsk, ani o komunikacje z Prusami Wschodnimi chodzi Rzeszy. Chodzi jej o Polskę, o pełne uzależnienie i zwasalizowanie całej Polski. Rzesza gotuje się do, wspólnej z Włochami, rozgrywki z Francją. Rzesza musi bowiem, nim pój-

„Mądry zwycięzca żądania swe, jeśli możliwe, stawiać będzie zawsze etapami. Może potem liczyć na to, iż naród, który stał się masą bez charakteru — a takim jest każdy naród, który się poddaje dobrowolnie, nie widzi potem racji, aby w każdym nowym wypadku uciemiężania chwycić za broń. Im więcej takich wymuszeń w ten sposób spokojnie zostanie przyjętych, tym mniej skłonne będzie społeczeństwo z powodu nowego, pozornie wyjątkowego, ale w gruncie rzeczy ciągle powtarzanego ucisku chwycić za broń, szczególnie wtedy, skoro naród już poprzednio o wiele większe nieszczęścia znosił milcząco i biernie. Upadek Kartaginy jest najokropniejszym obrazem takiej powolnej i samozawinionej egzekucji narodu“.

Tak głosi Adolf Hitler na str. 759 „Mein Kampf“.

Że potrafi on realizować swe doktryny, o tym świadczy najlepiej los Czechosłowacji.

Pomna tych słów, pomna losu, jaki zgotowało Czechosłowacji ciągłe ustępowanie wobec naporu niemieckiego i życzliwych rad monachijskich przyjaciół, polityka polska, daleka od wszelkiego prowokowania konfliktów, nie może pozwolić sobie na najmniejsze ustępstwo wobec pretensji niemieckich, na rezygnację z najmniejszej choćby cząsteczki praw Rzeczypospolitej.

dzie, szlakiem Waregów, na Wschód, zabezpieczyć sobie tyły, upewnić się, że w drugim roku wojny z poza, dotąd neutralnej, linii Maginota, nie wypadną świeże pułki francuskie, by wyczerpanej już Rzeszy podyktować francuski pokój. Stąd — konieczność, przed pochodem na Wschód, uderzenia na Francję. Ale na to trzeba znów wpierw zabezpieczyć się od wschodnich sojuszników Francji. Dużo już w tej dziedzinie, dzięki pomocy „monachijczyków" francuskich, zostało dokonane. Nie ma już „masońskiej", jak ją nazywał p. Wasiutyński, Czechosłowacji, jest zamiast niej protektorat czesko-morawski i „samodzielna" nacjonalistyczna" „hlinkowska", czyli, mówiąc po prostu, berlińska Słowacja. Na Wschodzie pozostała Polska — wprawdzie do dnia 28 kwietnia związana paktem o nieagresji, ale skądinąd przecież sojuszniczka Francji... Gdzie gwarancja, że mimo takich czy innych sympatii tych czy innych grup, w razie konfliktu armia polska przecież nie stanie u boku Francji, nie uderzy na wschodnią granicę Niemiec? Tutaj tkwi gwóźdź zagadnienia.

„Critica Fascista" włoskiego ministra oświaty p. Bottai, wielkiego naszego „przyjaciela", dała władcom berlińskim, jeszcze przed 28 kwietnia, doskonałą radę: oto trzeba „niepewnych przyjaciół na wschodzie" tak otoczyć, postawić w takie warunki, by nie mieli innego wyjścia, jak słuchać woli osi. Do tego właśnie, do zupełnego uzależnienia Polski od Berlina, do unieszkodliwienia jej na wypadek konfliktu na Zachodzie, zmierzały żądania wysunięte w mowie kanclerza. Nie darmo kanclerz zerwanie paktu o nieagresji motywował porozumieniem z Anglią. Rzecz jasna, przy sposobności kanclerz realizować chciał stare, ulubione aspiracje niemieckie, ale zasadniczo „operacja polska" jest dlań, zarówno jak dla Mussoliniego akcją przygotowawczą do wielkiej rozgrywki na Zachodzie.

To jest fakt zasadniczy; wszystko inne, a więc „wola ludności Gdańska" (niezbyt zresztą szanowana, skoro, wbrew konstytucji Wolnego Miasta, hitlerowski Senat nie próbuje od dłuższego czasu rozpisać w Gdańsku nowych wyborów), a więc „względy komunikacyjne" i „psychologiczne", a więc nagle znowu straszliwie „prześladowani" „bracia niemieccy w Polsce", to tylko zwyczajne atuty agitacyjne, nie tyle nawet na użytek wewnętrzno-niemiecki, co dla miłych druhów londyńskich i paryskich, by mieli czym operować w swej kampanii o oderwanie Zachodu od Polski.

Wynikają z tego dwa wnioski: po pierwsze, że Polska nie może ustąpić ani na krok, ani na milimetr, przed pretensjami niemieckimi, po drugie, że takie właśnie stanowisko Polski leży w interesie nie tylko Polski, ale i pokoju światowego, który po — niemożliwym zresztą do osiągnięcia — rozbrojeniu Polski byłby jeszcze bardziej zagrożony niż obecnie; w interesie Francji, znajdującej się na kolejnym, po Polsce, punkcie hitlerowskiego programu podbojów.

Astorowie nie przestają bruździć.

W świetle tych wniosków, jakże nikczemna jest kampania, prowadzona nadal na Zachodzie przez niepoprawnych monachijczyków typu astorowskiego! Działa ona na szkodę nie tylko Polski, ale i Francji i Anglii. Nic dziwnego, że każdy wyskok monachijski w prasie zachodniej przyjmowany jest z entuzjazmem przez wszystkie „Beobachtery" i inne „Tagblatty".

O artykule p. Déata głośno było już w prasie polskiej. Odpowiadał mu obszernie „Robotnik". Dodajmy też od siebie, że ten regenat socjalizmu wybrany został ostatnio do parlamentu głosami „jednolitego frontu" reakcji, przeciwko kandydatowi robotniczemu, i że wtedy nasza prasa reakcyjna witała ten wybór jako objaw „narodowego uzdrowienia Francji". Mają szczęście do „narodowych uzdrawiaczy" nasi faszyści i hitlerofile! Do p. Déata przyłączył się inny, podobny doń osobnik: p. Bergery z grupy „La Flèche", faszyzującego odłamu radykałów. Wreszcie — jakżeby mogło być inaczej! — wystąpił również p. Flandin, gratulant hitlerowski z okresu Monachium. Słowem zebrała się cała kompanijka hitlerofilów czy nawet po prostu — płatnych przedstawicieli niemieckiej propagandy.

Podobnie dzieje się w Anglii. „Kurier Warszawski" wspominał już o defiladzie „utytułowanych miernot" lordowskich, wyciąganych przez astorowskie „Times"-y, by stworzyć bodaj pozory filo-monachijskiego nastroju. Oprócz tego był wspomniany w „Robotniku" artykuł „Daily Mail" Rothermere'a, organu przybocznego Hitlera na terenie Anglii. Słusznie ostrzegaliśmy przed braniem na serio demonstracyjnego antyhitleryzmu tego brukowca w dniu zajęcia Pragi. Nie chodzi o treść, jakże słabą, tych wystąpień. Chodzi o to, że one w ogóle jeszcze się zdarzają, że nieprzejednani hitlerofile nie rezygnują z podrywania **morale** obronnego własnego kraju.

Trzeba jednak stwierdzić, że akcja ich napotyka na rosnący opór. Stwierdźmy tu — jako objaw najważniejszy — odrzucenie niewyraźnego w stosunku do monachizmu sprawozdania sekretarza generalnego S. F. I. O., Paul Faure'a, przedstawiciela Monachium wewnątrz tego stronnictwa, przez komitet centralny partii. „Le Populaire", organ naczelny S. F. I. O., kierowany przez Leona Bluma, prowadzi konsekwentną kampanię anty-monachijską. Wskażmy na świetną wręcz odpowiedź udzieloną lordom z „Times"-ów przez Duff-Coopera, streszczającą się w słowach: jeśli nie warto bić się o Gdańsk, to nie warto bić się o Dover. Wskażmy na zupełnie stanowcze stanowisko oporu zajmowane przez czołowy organ koserwatywny, „Daily Telegraph". W każdym razie — droga do nowego Monachium jest trudna, a stanowcze i spokojne stanowisko Polski może ją zamknąć zupełnie.

Rzym na rozkazach Berlina.

W ofensywie niemieckiej, prowadzonej planowo i systematycznie, nastąpił nowy etap. Po naradzie mediolańskiej ministrów Ribbentroppa i Ciano ogłoszone zostało zawarcie ścisłego sojuszu wojskowego włosko-niemieckiego. Ponoć umowa sojusznicza przewidywać ma tak daleko idące postanowienia, jak wspólny sztab włosko-niemiecki oraz wymianę garnizonów pomiędzy obu państwami, tak, że wojska niemieckie garnizonowane byłyby we Włoszech (a być może przede wszystkim w koloniach włoskich...), a włoskie w Niemczech.

Nie sądzimy, by zawarcie tego paktu należało brać szczególnie tragicznie. Stanowi on tylko formalne, dla celów propagandowych przeznaczone, stwierdzenie stanu rzeczy, istniejącego od dłuższego czasu. Czyż wojska niemieckie od dawna nie stoją już w Libii? Czy cała akcja osi w Czechosłowacji, w Hiszpanii, w Albanii nie była zawsze uzgadniana? Sojusz włosko-niemiecki stanowi tylko ostateczne rozproszenie złudzeń tych, co sądzili, że można oderwać Mussoliniego od Hitlera, że można rozbić blok ideologiczny faszyzmów. Dziś nawet „Mały Dzien-

nik" w chwili przypływu trzeźwości, musi stwierdzić, że Mussolini idzie z Hitlerem, poświęcając państwowy interes Włoch interesowi partyjnemu reżymu faszystowskiego.

Niepoprawni siewcy złudzeń już się jednak odzywają znowu: jedno z pism polskich, dawniej z uporem głoszące sojusz z Niemcami, teraz przyniosło, na tytułowej stronie, trzyszpaltową zapowiedź, że sojusz z Włochami okupiła Rzesza zgodą na pokojowość wobec Polski. Astorowe „Times"-y już twierdzą, że dzięki sojuszowi Włochy będą mogły wpłynąć łagodząco na pociągnięcia Rzeszy. Są to, rzecz jasna, zwykłe bujdy. Sojusz włosko-niemiecki zawarty został pod wyraźną hegemonią Rzeszy i dla jej celów. Ma on — podług słów „Völkischer Beobachter" — przekonać mocarstwa zachodnie, że „pomiędzy nimi, a ich rzekomymi sferami interesów na Wschodzie wznosi się szeroki, nieprzekraczalny wał osi", innymi słowy, że powinny one na Wschodzie zostawić wolną rękę Rzeszy. Identyczne jest w tej sprawie stanowisko faszystowskiego „Popolo d'Italia", oświadczającego, że „kwestia gdańska obchodzi tylko Niemcy, Włochy i Polskę", że oś „przeprowadziła, od Alp po Ren linię demarkacyjną, poza którą mocarstwa nie mogą interweniować". Że przy tym ta „wolna ręka", przynajmniej w interpretacji włoskiej, oznaczać ma poparcie pretensji niemieckich, to także powinna wiedzieć polska opinia publiczna. Ostatnie „Relazioni Internazionali", organ włoskiego M. S. Z. piszą dosłownie: „Kanclerz Hitler określił dokładnie żądania niemieckie. Te żądania są **słuszne** i **rozumne.** Polska popełnia błąd, chcąc postawić się poza historią i poza rzeczywistością".

Nie chcemy twierdzić, bynajmniej, że pomiędzy partnerami osi nie ma żadnych targów i różnic zdań. Niewątpliwie, Włochy wolałyby, by Rzesza teraz zajęła się Tunisem, a nie Gdańskiem. Niewątpliwie, Włochy wolałyby widzieć bardziej ostrożną politykę Niemiec na Wschodzie. Ale są to różnice co do metod, co do tempa, co do kolejności. Cele są uzgodnione: Włochy popierają wszystkie żądania Rzeszy, Rzesza popiera wszystkie żądania Włoch. I — rzecz najważniejsza — w razie różnicy zdań zawsze przeważa w osi zdanie silniejszego, to jest Niemiec. Dopóki faszyzm rządzi Włochami, Włochy są na usługach Berlina. O tym musi pamiętać polityka i publicystyka polska.

Jugosławia zagrożona. Ta wspólna robota osi znajduje konkretny wyraz na jednym z nielicznych odcinków, gdzie inicjatywa osi ma jeszcze wolną rękę: w Jugosławii. Ostatnie wiadomości z tego kraju brzmią wybitnie niepomyślnie: porozumienie serbsko-chorwackie, zawarte przez premiera Cwetkowicza z jednej, a wodza Chorwatów Maczka z drugiej strony, zostało odrzucone przez regencję. Ponoć prawdziwą przyczyną odrzucenia ma być nacisk Włoch i Niemiec, które nie chcą mieć w rządzie jugosłowiańskim przedstawicieli demokratycznych stronnictw chorwackiego i serbskiego, stanowczych przeciwników osi. W tym celu wykorzystały one niezadowolenie kamaryli dworskiej i kół dawnej monopartii Stojadinowicza, by storpedować porozumienie, które mogło skierować politykę wewnętrzną Jugosławii na tory rzeczywistego zjednoczenia narodowego, którego konieczność jest tak paląca w obliczu groźnej sytuacji międzynarodowej. Zachodzi niebezpieczeństwo, że znowu w Jugosławii otworzy się szeroka przepaść pomiędzy „krajem rzeczywistym" a „krajem legalnym", przepaść, którą wykorzysta oś, by „krajowi legalnemu", by formalnemu rządowi, pozbawionemu jakiegokolwiek rzeczywistego oparcia w kraju i w narodzie, narzucić swoją wolę. Ks. Paweł, regent Jugosławii bawi w tej chwili w Rzymie.

Pozostaje jednak nadzieja, że społeczeństwo jugosłowiańskie stawi ponownemu nawrotowi do totalizmu tak mocny i zdecydowany opór, że uda się mimo wszystko wyrwać Belgrad z pod wpływów Berlinternu. Że sprawa nie jest taka prosta dla przedstawicieli orientacji rzymsko-berlińskiej — o tym najbardziej świadczy fakt, że urzędowe agencje jugosłowiańskie starają się zbagatelizować konflikt z Chorwatami, zapewniając, że rokowania toczą się nadal, że porozumienie osiągnięto już w 95%, że na pewno dojdzie do pozytywnego rezultatu pertraktacji. Widać, narazie rząd belgradzki jeszcze się waha.

„Bracia Węgrzy" i Zakarpacie. Prasa węgierska skarży się ostatnio na nieprzychylne wobec Węgier stanowisko „części prasy polskiej" Pol. Ag. Tel. uznała za potrzebne podać w streszczeniu te skargi. Pół-oficjalny organ węgierski twierdzi tam, że w prasie węgierskiej nigdy nie było artykułów nieprzyjaznych dla Polski, że Węgry pozostają wierne przyjaźni z Polską itd. itd. Szkoda, że wobec tego Węgrzy skarg swych nie skierują pod innym adresem: pod adresem prasy niemieckiej, która w obszernych wyciągach z organów madziarskich informowała świat cały, że Węgrzy doradzają nam „polubowne załatwienie" konfliktu z Rzeszą (czy można nazwać „polubownym załatwieniem" sprawy, kiedy zatrzymany przez opryszka na drodze oddam mu tylko portfel, zachowując sobie zegarek? — pytanie do rozwiązania dla budapesztańskich „bratanków") i że żywo ubolewają nad „nieprzejednanym stanowiskiem Polski". Bo jeśli „Pester Lloyd" nie sprostuje tych właśnie wywodów, to, naszym zdaniem, trudno mówić o przyjaźni polsko-niemieckiej.

Są tu zresztą inne, poważniejsze sprawy od artykułów w gazetach. Prasa ukraińska twierdzi, że ks. Wołoszyn powrócił już do Husztu, na podstawie porozumienia pomiędzy władzami węgierskimi a Ukraińcami. „Ruska Partia" p. Fencyka, stronnika carskiej Rosji, ma zostać rozwiązana, a on sam jest podobno już aresztowany. „Swoboda" organ O. U. N. ma znowu się ukazywać. Na ulicach Mukaczewa i Użhorodu pokazują się ponoć znowu dobrze znane figury „siczowców", przysłanych tu z powrotem z niemieckich obozów przeszkoleniowych. Ma to wszystko być wynikiem rozmów, prowadzonych czas dłuższy pomiędzy Niemcami a Budapesztem.

Czy to prawda I czy rzeczywiście feudalne „bratanki" madziarskie zechcą nam wmawiać, że stworzenie nowego ośrodka hitlerowskiego propagandy wśród Ukraińców — w

Przez wiek cały los Polski związany był z losem wolności europejskiej. Dziś z niepodległością Polski wiążą się losy Europy.

chwili, gdy tę propagandę równocześnie gwałtownie wzmaga radio Wiedeń — stanowi przejaw tradycyjnej przyjaźni polsko-węgierskiej?

Kosz skandynawski. Jeśli na terenie własnym oś w szybkim tempie dokonuje usprawnienia swego aparatu agresji — i sojusz włosko-niemiecki i rosnące objawy „przyjaźni“ węgierskiej dla nas i wahania ks. Pawła jugosłowiańskiego należą do tej zasadniczej kategorii — to pozatem nie może się ona pochlubić sukcesami.

Ważną porażką osi jest jednomyślne odrzucenie niemieckich propozycji „paktu nieagresji“ przez konferencję państw skandynawskich. Wprawdzie, jeśli idzie o Szwecję i Norwegię, to należało się spodziewać odmowy — w obu krajach rządzą od szeregu lat socjaliści, a hitlerofilskie elementy, tkwiące gdzieniegdzie w kołach reakcyjnych, mogą wyładowywać swój gniew tylko na balach dworskich, urządzanych zresztą na bardzo skromną skalę. Ale niespodzianką jest mocne stanowisko Finlandii, gdzie Rzesza posiada oddawna mocne pozycje zwłaszcza w armii i w organizacjach paramilitarnych. Widać ostatnie wypadki, okupacja Pragi i Kłajpedy, brutalne podeptanie paktu o nieagresji z Polską, wywołały daleko idące otrzeźwienie nawet w reakcyjnych środowiskach fińskich i zmusiły niepoprawnych hitlerofilów co najmniej do ostrożności w ujawnianiu swych sympatii. Faktem jest na razie, faktem wybitnie pozytywnym, że państwa skandynawskie i Finlandia odrzuciły w chwili obecnej wszelkie pakty z Hitlerem i że Rzesza musiała tę odprawę milcząco schować do kieszeni.

Bałkańska zapora dla osi. Bodaj donioślejsze znaczenie ma fakt inny: szybkie cementowanie zapory bałkańskiej przeciw osiowej ekspansji. W ubiegłej dekadzie został ostatecznie sprecyzowany pakt turecko-angielsko-francuski, przewidujący współpracę tych trzech państw przeciwko ekspansji niemieckiej na terenie wschodniej części Morza Śródziemnego i Bałkanów. Zdaje się, że porozumienie obejmuje również dalsze ustępstwa angielskie dla Arabów palestyńskich, wzamian za co Turcja ma wyrugować na tym terenie wpływy niemiecko-włoskie. Podróż p. von Papena do Ankary okazuje się więc spóźniona. Turcja nie ma ochoty stanowić po raz drugi w historii pionka i ofiary niemieckiego pochodu nad Tygrys i Eufrat.

Charakterystyczne jest, że ostateczne uzgodnienie tego traktatu wypadło na czas bytności w Ankarze sowieckiego wicekomisarza spraw zagranicznych, Potiomkina. Podróż bałkańska Potiomkina będzie miała, zdaje się, niezwykle wielkie znaczenie dla przeciwstawienia osi państw Południowego Wschodu. Fakt, że odwiedził on w czasie tej podróży obok Ankary także Bukareszt, z którym Sowiety łączą dotąd stosunki raczej chłodne i Sofię, z którą stosunki te były wręcz lodowate, świadczy, że chodzi o jakąś poważniejszą akcję, zwłaszcza, że w Sofii rozmawiał z królem Borysem. Prasa zagraniczna twierdzi, że Sowiety montują na Bałkanach pakt czarnomorski, który miałby objąć wszystkie państwa, leżące nad tym morzem, gwarantując im pomoc sowiecką w razie ataku Niemiec, lub kogoś z wasalów Niemiec na którekolwiek z nich.

Polityka zagraniczna Sowietów. Już te pertraktacje Potiomkina, podobnie zresztą, jak jego krótka wizyta w Warszawie, świadczą, jak nieuzasadniony był jubel, podniesiony przez prasę niemiecką na wieść o ustąpieniu Litwinowa, interpretowanym jako powrót Sowietów do ścisłej izolacji politycznej i wycofania się z konfliktów pomiędzy państwami nie-komunistycznymi. Brak uzasadnienia tej radości niemieckiej był zresztą jasny od pierwszej chwili dla każdego uważnego obserwatora polityki sowieckiej.

Nie dlatego, byśmy brali na serio, równie nierealne plotki, pochodzenia londyńskiego, o tym, by zmiana na stanowisku komisarza spraw zagranicznych spowodowana została nadmiernym „doktrynerstwem“ Litwinowa, nie mogącego jakoby zgodzić się na zastąpienie lansowanego przezeń paktu kolektywnego bezpieczeństwa przez porozumienia bilateralne z państwami Zachodu. Po pierwsze Litwinow w ciągu ostatnich dziesięciu lat dał się poznać właśnie nie jako „sztywny doktryner“, po drugie tylko bardzo schematyczne umysły mogą się dopatrzeć sprzeczności pomiędzy kolektywnym bezpieczeństwem a paktami bilateralnymi typu tych, o jakie pertraktują ostatnio Anglia i Sowiety. Czymże bowiem innym, jak nie nową formą zbiorowego bezpieczeństwa byłby pakt anglo-francusko-sowiecki, gwarantujący pomoc tych trzech państw krajom, zagrożonym przez niemiecką ekspansję?

Prawdziwe przyczyny ustąpienia Litwinowa spoczywają, naszym zdaniem, zupełnie gdzieindziej. Kto wie, czy nie zadecydowało o jego ustąpieniu sprawozdanie Majskiego o przebiegu posiedzenia gabinetu brytyjskiego, na którym postanowiono odrzucić propozycję sowiecką zawarcia sojuszu wojskowego, motywując to zastrzeżeniami, wysuwanymi przez... Portugalię i Grecję. Dymisja Litwinowa oznacza, naszym zdaniem, gest, mający pokazać, że — podług trafnego określenia bazylejskiej „National Zeitung“ — Sowiety gotowe są do pertraktacji i współpracy, ale pod warunkiem zupełnej równości w pertraktacjach, pod warunkiem, by nie traktowano ich jak „zapowietrzone“. Konkretnie: Sowiety nie mają ochoty na przyjęcie propozycji brytyjskiej, podług której byłyby one zobowiązane do wystąpienia, jeśli Anglia i Francja będą zaatakowane, ale mocarstwa zachodnie nie byłyby zobowiązane do pomocy na wypadek ataku na Sowiety. Podejrzewają one, że pakt tego typu stanowił by właśnie doskonały środek dla skierowania ekspansji osi na nie same — dla osiągnięcia tego właśnie, co zarzucał w swej ostatniej mowie Stalin niektórym politykom, monachijskiej odmiany, mocarstw zachodnich. Wycofując Litwinowa, znanego z przyjaznej wobec Zachodu polityki, Sowiety rezerwują sobie możliwość okazania „mocnej ręki“, uderzania od czasu do czasu pięścią w stół. Pierwszym

Od Wydawnictwa

Abonentów,
którzy
zalegają
z opłatą prenumeraty za
kwartał ubiegły i bieżący
p r o s i m y
o uregulowanie
należności.

takim uderzeniem jest ostatni komunikat Tassa, wręcz polemizujący z Chamberlainem.

Ale o wycofaniu się Sowietów z polityki europejskiej mowy być nie może: Kreml pamięta napewno, że w „Mein Kampf“ i on figuruje na określonym miejscu — prawda, że licząc od stanu dzisiejszego, dopiero na trzecim, po Polsce i Francji — i woli, by ekspansja hitlerowska została rozbita już przed tym, rozbita w warunkach, w których mógłby on w rozgrywce z brunatnym naporem liczyć na sojuszników. Stąd — równocześnie z usztywnieniem pozycji sowieckiej wobec Londynu — nastąpiła wizyta Potiomkina w Warszawie i mianowanie nowego ambasadora w Polsce.

Polska — zdecydowana i spokojna.

Wśród hałasu propagandowych kampanii, w wirze intryg i monachijskich machinacji — stanowisko Polski musi pozostać spokojne i zrównoważone, ale zarazem zdecydowane i twarde.

Wiemy, że bronimy pozycji, które decydują o naszej niepodległości, które decydują o przyszłości naszego kraju. Wiemy, że z tych pozycji zejść nam nie wolno, że musimy ich bronić, choćby przyszło złożyć tej obronie w ofierze najlepsze siły narodu. Wiemy, że każda słabość, każde wahanie może być przyjęte przez wroga jako sygnał do ataku. I dlatego do wahań ani słabości dopuścić nam nie wolno.

Broniąc pozycji Polski — bronimy zarazem pokoju europejskiego, bronimy równowagi europejskiej, bronimy wolności europejskiej, zagrożonej przez nowego Dżingischana brunatnych podbojów. Dlatego dążymy do zacieśnienia naszej przyjaźni, naszych sojuszów, łączących nas z państwami i narodami, zagrożonymi tym samym co i my niebezpieczeństwem. Ale gotowi jesteśmy walczyć sami, bez nich, gdyby przez chwilę zapomniały one o rzeczywistym znaczeniu walki, toczonej dziś o Gdańsk, jak wczoraj o Pragę. Jesteśmy pewni, że twardy język rzeczywistości przemówi do ich umysłów i przekona je, że, jak już nieraz w naszej historii, interes Polski jest interesem Europy.

Ze wspomień nauczycielskich

Wypożyczalnia pomocy szkolnych

Wiele dziesiątków lat walka nasza z zaborcami toczyła się na polu najbardziej zagrożonym dla życia narodowego i kulturlnego: na polu oświaty i szkolnictwa.

Nie dać się wynarodowić, nie dać się zepchnąć w przepaść ciemnoty i poniżenia, ku którym usiłował nas zepchnąć ciemny i barbarzyński zaborca, to był cel naszej walki.

Podnosić się stale *w całej swej masie* ku światłu i kulturze, to była idea, w służbie której oddawaliśmy swe siły, wyżywaliśmy się, szukając w tej walce dobra publicznego, a bezwiednie znajdując w niej także szczęście osobiste, jakie daje twórczy czyn, bo życie nasze w tych warunkach wymagało samodzielnej, twórczej pracy.

Szliśmy w „walkę, co kraj oświeci od piwnic aż do poddaszy“.

Nie posiadając funduszów niezbędnych dla prac oświatowych, nie posiadając budynków szkolnych, wielotysiącznego sztabu wykwalifikowanych, płatnych nauczycieli, programów i podręczników opracowanych przez specjalistów — społeczeństwo polskie z pustymi rękami i kieszeniami, bez praw, środków i narzędzi pracy, stawało do zmagania się z potęgą carską; siłą duchową starając się zastąpić braki materialne, rzucając na wagę zmagań energię, marzenia, twórczość, żar walki, poczucie obowiązku społecznego, miłość ojczyzny i wolności, dążenie do lepszego jutra.

Wszystko to były wartości, z którymi nie można się było nie liczyć i dzięki którym byliśmy silni, pomysłowi, wierzący w zwycięstwo i zwyciężający.

Kiedy w 1878 r. lub 79 r. ogłoszono w Londynie międzynarodowy konkurs na najlepszy elementarz, odznaczony został polski elementarz Kazimierza Promyka, noszący tytuł: „Elementarz dla samouków“, z którego bez nauczyciela sam się czytać nauczysz“. Taki elementarz powstał, bo powstać musiał w Polsce, gdzie ludność pozbawiona była polskiej szkoły i polskiego nauczyciela — elementarz ten był bronią w walce.[1])

W końcu XIX-go, a na początku XX-go w., na zjazdach oświatowych w zachodniej Europie, zdziwienie i uznanie wywołał „Poradnik dla samouków“ (Al. Heflich i St. Michalski, wyd. Kasy Mianowskiego). Podziwiano pomysł, plan i formę wykonania wydawnictwa. Nie wiedziano, że stworzyła go konieczność życiowa: brak normalnego szkolnictwa i nauczania, z drugiej strony ofiarność, oddanie się intelektualistów polskich sprawie społeczno-oświatowej.

W okresie walki o prawo kobiety do wyższego wykształcenia, Warszawa posiadała wyjątkowo liczny zastęp kobiet kształcących się, dzięki organizacji nieznanej nigdzie na świecie, a noszącej dziwny tytuł: „Latającego Uniwersytetu“.[2]) Pierwszorzędni uczeni polscy (P. Chmielowski, L. Krzywicki, J. Nusbaum, A. Mahrburg, J. Wł. Dawid, W. Nałkowski i inni) tajnie, nielegalnie wykładali wobec tysięcy słuchaczek.

Jak wielkim czynnikiem niesienia kultury na wieś były pozorowane nauką: rolnictwa i ogrodnictwa szkoły i kursa, nie podlegające petersburskiemu ministerium oświaty! Szkoły rolnicze zakładane przez Jadwigę Dziubińską miały na celu wychowanie nie tylko rolnika, ale

[1]) W zaborze pruskim, przy walce władz niemieckich z elementarzem polskim, dziennik polski drukował kolejne lekcje nauki czytania, aby ułatwić matce naukę dziecka polskiego w ojczystym języku.

[2]) Ze szkoły tej, tego „uniwersytetu latającego“, wyszło wiele kobiet umysłowo pracujących w pedagogice polskiej, medycynie, aptekarstwie, literaturze, w naukach społecznych itp. (z Marią Skłodowską-Curie, Zofią Daszyńską na czele).

obywatela i człowieka. Wychowawcy Pszczelina, Sokołówka, Bratnego itd. byli pionierami kultury na wsi.

Któżby odgadł, że filie rosyjskiego Tow. Opieki nad Zwierzętami zakładane były z celem oświatowym.[3]) Bilet członka tej instytucji dawał prawo do rozdawania książek popularnych, co pod panowaniem rosyjskim zwykłemu obywatelowi było surowo zabronione.

W kraju, gdzie nie wolno było nauczać w języku polskim, powstała i przez dziesiątki lat trwała, cała sieć małych polskich szkółek, w których po kilkoro dzieci pobierało naukę tajnie, nielegalnie i *bezpłatnie*. Naukę przeważnie prowadzoną nie przez fachowych nauczycieli, lecz przez całe zastępy obywateli (obywatelek).

Pod zaborem pruskim i rosyjskim obmyślano najrozmaitsze sposoby tajnego gromadzenia dzieci i udzielania im tej nauki, co władze zaborcze uważały za przestępstwo polityczne (A.B.C. — Orzeszkowej) i jako takie śledziły, rozpędzały, karząc nauczycieli, rodziców i uczniów.

Do spisku oświatowego należało niejako całe społeczeństwo. Instytucje takie, jak: Tow. Dobroczynności ze swymi ochronkami, szwalniami, warsztatami rzemieślniczymi, kolonie letnie itp. — wszystkie te instytucje służyły zastępczo jako szkoły, przeobrażały się w szkoły.

Instytucją, która jednoczyła dużą liczbę pracujących zawodowo nauczycielek, był tak zwany Związek Kobiet Polskich (później Kobiet Polskich Korony i Litwy). Naturalnie włączył on do swych zadań obowiązek tajnego i bezpłatnego nauczania. Przed złączeniem ich i zorganizowaniem (przez C. Śniegocką) w wielką całość — rozbity był na luźne, drobne kółka, które nie mając żadnego, urzędowo obowiązującego programu, pozwalały na obmyślanie go, zmuszały, czy zachęcały do samodzielnej pracy w kierunku metodycznym, oświatowym.

Przy tej grupie nauczycielskiej powstała instytucja swego czasu niezbędna w szkole, ułatwiająca i udoskonalająca pracę w sposób specyficzny, nie mająca precedensów i wzorów gotowych, bez stałych środków, oparta o ofiarność społeczną, bardzo charakterystyczna dla ducha tych czasów, odbijająca mocno ich ideologię: *Wypożyczalnia okazów, stanowiących pomoce szkolne.*

Stworzona dzięki ofiarności nauczycielek, które zapoczątkowały ją, oddając do użytku społecznego posiadane zbiory, rozwinęła się jednak dzięki pomocy ludzi, stojących nawet daleko od pracy nauczycielskiej, ale rozumiejących ważność pracy oświatowej i jej jakości.

Instytucja napewno nie odegrała wielkiej roli społecznej, ale odpowiadała potrzebom, rozwijała się przez długi czas, przetrwała — i dotrwała dotąd (dziś instytucja miejska) [4]). Żywo i mocno odbijała ona zmieniające się poglądy pedagogiczne i zdarzenia polityczne, jakie społeczeństwo warszawskie przeżywało w ostatnim dwudziestoleciu XIX stulecia.

W metodyce nauczania panował wszechwładnie kierunek t. zw. „poglądowości".[5]) Jednym z jej twórców i propagatorów u nas był A. Dygasiński, który dzięki swym wykładom pedagogicznym na „Uniwersytecie Latającym", miał duże wpływy wśród kół nauczycielskich.

Pokazywano dzieciom przedmiot („okaz"), kazano go podług pewnych schematów obejrzeć i ustnie opisać. Szkoły średnie prywatne i państwowe — dla zamożnych dzieci (gimnazja) — gromadziły w tym celu odpowiednie zbiory, przeważnie przyrodnicze: zwierzęta wypchane, konserwowane w spirytusie, suszone, obrazy i rysunki, zielniki, minerały, trochę później tablice technologiczne (co z czego się robi: przeróbka lnu, węgla, zbóż itp.). Co miały robić nauczycielki prywatne, uczące po kilkoro dzieci w prywatnych domach, dzieci zamożnych lub dzieci proletariatu, korzystające z bezpłatnego nauczania? Dla tych właśnie dzieci i nauczycieli stworzono wypożyczalnię. Zgromadzono „okazy", własność prywatną różnych nauczycielek. „Okazy" te za drobną opłatą (lub bezpłatnie) wypożyczano nauczycielom, aby mogli je pokazywać dzieciom, a po kilku dniach zmieniać na inne. Zbiory początkowo były bardzo niewielkie. Mieściły się w jednej szafie, w bieliźniarce, lecz co gorsza, były zupełnie przypadkowe.[6])

Gdy rozjeżdżano się na wakacje, zobowiązywano się pamiętać o zbiorach i przywieźć nowe okazy. Przywożono więc pęki zbóż, suszone owoce i liście drzew, zbiór motyli, gniazd, muszle z nad morza, kryształy soli z Wieliczki, kawałki gipsu, marmuru kieleckiego itp.

Po wydaniu książki Ludwiki Jahołkowskiej „O zimie", gdy tematem wykładów bywały często zwierzęta takie, jak: wrona, kruk, wróbel, lis itp., w sezonie zimowym wzrosło ich zapotrzebowanie. Pani Jahołkowska ze swego honorarium kupiła nam te zimowe ptaki, lisa zaś odczepiono z podnóżka mojej matki i włączono do zbiorów.

Z drobnych opłat pobieranych za wypożyczanie okazów (do płatnych kompletów nauczania), robiono zakupy.

Pierwsze większe pieniądze (200 rb.) ofiarowała na potrzeby wypożyczalni pani Orzeszkowa.[7]) Pieniądze te przyniósł do wypożyczalni prof. Ślusarski, udzielając przy tej sposobności szeregu fachowych wskazówek w sprawie organizowania zbiorów i ich przechowywania. Za te 200 rb. zakupiono w lipskim pedagogium kilka ściennych obrazów (przedstawiających kury, rybę, barana itp.), kilka tablic technologicznych i najprostsze przyrządy fizyczne: termometr, barometr, butelkę lejdejską, maszynę elektryczną[8]) i telurium.

Wiele zmian w charakterze zbiorów przyniósł rok 1894 — 100-letnia rocznica powstania Kościuszkowskiego.

Dotąd wypożyczalnia obsługiwała nauczanie przyrody. Od 1894 r. — nauka historii wymagała naszej pomocy.

Z gazet dowiedzieliśmy się, że w Anglii używają przy nauczaniu latarni projekcyjnej. Latarnia taka wydawała się nam nieskończenie droga (przeszło 150 rb.), ale prof. Majchrowski zbudował sam taką latarnię z pudełka od cygar, malarka p. Zofia Stankiewicz zrobiła na szkle kolorowe obrazy z życia Kościuszki (klisze). Teraz pożyczaliśmy latarnię i klisze dla ożywienia odczytów Kościuszkowskich, dodawaliśmy do tego literaturę pomoc-

---

[3]) Komitet damski Tow. Opieki nad Zwierzętami stworzyły Julia Sikorska, Jeziorańska Helena, Jadwiga Jahołkowska, Katarzyna Kanigowska i inne. Pierwsze wydawnictwo — nowela A. Dygasińskiego — O koniu.

[4]) Hipoteczna 8.

[5]) Na tematyce nauczania naiwnie odbijały się często dwa kierunki myśli politycznych: jedna grupa czerpała tematy ze wsi i rolnictwa, druga — skłaniająca się ku hasłom socjalistycznym, czerpała je z przemysłu fabrycznego.

[6]) Pamiętam, że gdy w mieszkaniu p. Śniegockiej zdechł wąż zaskroniec, włożono go zaraz do słoja ze spirytusem i włączono do zbiorów. Gdy prof. Mahrburg zabił na polowaniu dziką kaczkę i nura — kazał je wypchać i ofiarował wypożyczalni.

[7]) Z pieniędzy ofiarowanych do jej rozporządzenia; pieniądze przeszły, zdaje mi się, przez Kasę Mianowskiego.

[8]) Pokazując maszynę elektryczną, odczytywano jakiś szkic historyczny — „Pioruny ks. Radziwiłła".

nicą: życiorys Kościuszki — M. Wysłouchowej, dzieje powstania 1794 r. i odpowiednie poezje: Ujejski, Lenartowicz.

Tym sposobem rozszerzono działalność naszej wypożyczalni, tworząc dział historyczny niewielki[9]), ale bardzo potrzebny w chwilach okresu manifestacji 3 maja, Kościuszkowskich, Mickiewiczowskich itd.

Gdy po manifestacji na cześć Kilińskiego władze rosyjskie rozesłały grupę młodzieży po całej Rosji, prosiliśmy i przykazywaliśmy wyjeżdżającym aby pamiętali o zbiorach wypożyczalni. Otrzymaliśmy gdzieś ze stepów rosyjskich śliczną „białą“ (właściwie popielatą) kuropatwę stepową i różne minerały: ametysty, kryształy, topazy, a nawet z Uralu kawałek spatu polnego z odrobiną złota...

Przyszła i taka chwila, gdy z pomocą naszej wypożyczalni przyszedł obywatel z austriackiego zaboru, prof. Kowalewski z Dublan. Przy organizacji szkoły Dublańskiej (rok 1897 lub 98) robił on wielkie zakupy preparatów formalinowych w Pradze czeskiej, przywiózł wtedy i dla nas kilka pięknych słoików zawierających: korale, raka, chrabąszcza, żabę, ślimaka i rybę.

Zbiory wzbogaciły się też pracami sporządzonymi przez nauczycieli i uczniów. Uczniowie p. Mieczysława Brzezińskiego zrobili dla nauczycielki lampkę nocną elektryczną (w kształce ulicznej latarni elektrycznej). Latarnia powędrowała do wypożyczalni, gdzie cieszyła się tym większym powodzeniem, że Warszawa nie miała jeszcze elektrycznego światła. W ślad za tą latarnią powstał szereg drobnych modeli fizycznych, sporządzanych przez młodzież.

Gdy p. Helena Rajchman (Radlińska) ofiarowała nam uporządkowany zbiór wycinków z pism, jako ilustrację do nauki historii polskiej, młodzież korzystająca z wypożyczalni pracę tę kontynuowała.

Nie wystarczała już szafa, zbiory zajmowały cały pokój, trzeba je było przenieść z prywatnego mieszkania do specjalnego pomieszczenia. Zbiory były napewno bogatsze, niż zbiory ówczesnych szkół średnich. Dopełniano je stale, porządkowano, kompletowano planowo, co było tym konieczniejsze, że przy przenoszeniu łatwo ulegały zepsuciu.

Pamiętam gwałt i śmiech, gdy p. Rusjan (Koreywowa) zgubiła na ulicy ogon lisa, gdy uczniowie p. Danilowskiej urwali głowę ziembie. Wypadki te były przyczyną ustanowienia odpowiedniego punktu w nieistniejącym dotąd formalnie regulaminie: za zepsute na „bezpłatniaku“ okazy (tak, jak za ich wypożyczanie), nie pobierano opłat. Tak kazała słuszność! Któż miał płacić, czy dzieci, które pobierały bezpłatnie naukę, czy nauczycielka, która bezpłatnie uczyła?

Wypożyczalnia była naszą inwencją, nie słyszałyśmy o takiej, a wydawała się nam potrzebną, zaczęłyśmy ją budować od najdrobniejszych cegiełek. Była związana ze służbą oświatową, z ułatwieniem i udoskonaleniem nauczania, więc powstała, rosła, znajdowała pomoc społeczną.[10])

Była naszym dziełem. Cieszyła nas, kochałyśmy ją!

STEFANIA SEMPOŁOWSKA.

[9]) W tymże roku p. Rzepecki, przyjeżdżając na swój ślub z Izą Moszczeńską, przywiózł z zagranicy dwa zeszyty ilustracji do historii Konstytucji 3 Maja i medal Kościuszkowski, które to przedmioty powędrowały zaraz do zbiorów.

[10]) Byłam świadkiem powstania, rozwoju i życia wypożyczalni tylko do roku 1901 i o tym tylko okresie piszę.

Polskość przeciw nacjonalizmowi i vice versa

Paradoks, który zmusza nacjonalizm polski do przeciwstawienia się mocarstwom osi, skłania teoretyków naszej reakcji do najzabawniejszych skoków myślowych. Czytamy np. w „Myśli Narodowej“:

„Nacjonalizm polski znalazł się w trudnej, napozór, sytuacji. Oto stoi zdecydowanie, skoalizowany z t. zw. „państwami demokratycznymi“ przeciw państwom antyżydowskim, antymasońskim, nacjonalistycznym. Stoi zdecydowanie, gdyż zdrowy intynkt każe mu być bardziej polskim, aniżeli nacjonalistycznym. Groźba więc paradoksu nie istnieje. Nie uznawaliśmy nigdy żadnych nacjonalistycznych międzynarodówek“.

„Zdrowy instynkt każe mu być bardziej polskim, aniżeli nacjonalistycznym“. Brawo, panowie! Ale, dlaczego instynkt ten przemówił dopiero, kiedy łapa państw „antyżydowskich, antymasońskich, nacjonalistycznych“ zamierzyła sięgnąć po polskie ziemie? Dlaczego instynkt ten nie ostrzegał was przed tym, wtedy, kiedy te „państwa antyżydowskie, antymasońskie, nacjonalistyczne“ zajmowały, jedną po drugiej, pozycje wyjściowe do ataku na Polskę i jej sojuszników, kiedy Rzesza, przy waszym poklasku, „uzależniała“ od siebie Czechosłowację, kiedy partner i wasal Rzeszy, Rzym, atakował Francję, kiedy oś wspólnym wysiłkiem zdobywała Hiszpanię, zmuszając w ten sposób naszą sojuszniczkę Francję do utrzymywania jeszcze jednego, pirenejskiego frontu? Jeśli dzisiejsze wasze stanowisko skierowane przeciw państwom „antyżydowskim, antymasońskim, nacjonalistycznym“ podyktowane jest faktem, że jesteście bardziej Polakami niż nacjonalistami, to czyż nie znaczy to zarazem, że poprzednio, entuzjazmując się pochodem osi, byliście bardziej antysemitami, antymasonami, nacjonalistami, niż Polakami?

„Nigdy nie uznawaliśmy żadnych nacjonalistycznych międzynarodówek“. Ale poco w takim razie ludzie waszego obozu obrzucali obelgami

DO PRZYJACIÓŁ „EPOKI“.

Prosimy o podanie nam adresów osób, którym należy przesłać numery okazowe „EPOKI“.

Francję, poco jeździli do Erfurtu, poco apoteozowali niemieckiego szpiega Codreanu, poco bratali się z Henleinem i z agentami p. Goebbelsa z czeskiej Vlajki? Dlaczego milczeli o najemnikach niemieckich i włoskich w armii gen. Franco, poco okłamywali swych zwolenników, że to chodzi o powstanie armii hiszpańskiej, kiedy dziś taki pełnej krwi filo-faszysta, jak pan Roman Fajans z „Kuriera Warszawskiego" na paradzie frankistowskiej w Barcelonie widzi ze zgrozą samych tylko Niemców i Włochów? Jeśli nawet nie uznawaliście tej „nacjonalistycznej międzynarodówki", to działaliście tak, jak by ona istniała i działała.

A swoją drogą, ciekawy to nacjonalizm, który właśnie w godzinie dziejowej próby musi palić dawnych swoich bogów i oświadczać, że jest bardziej polski niż nacjonalistyczny!

Więc nacjonalizm nie jest synonimem polskości, jak zawsze dotąd głosiliście?

O ileż w szczęśliwszym położeniu jest cały obóz demokracji polskiej, który od lat wskazywał, że prąd faszystowski wrogi jest interesom Rzeczypospolitej, że dobro Polski i dobro wolności europejskiej jest tylko jedno.

Ciekawe, jak długo jeszcze p. Piasecki i inni polscy wyznawcy totalizmu będą karmili swych zwolenników bajeczką o różnicy, której nie ma.

Z dnia na dzień

RÓŻNICA, KTÓREJ NIEMA

Redaktor „Prosto z mostu", p. Stanisław Piasecki, wytacza ciężkie oskarżenia pod adresem hitleryzmu. Dowiadujemy się, że faszyzm niemiecki zdradził ideały nacjonalistyczne, które ponoć streszczają się tylko w dążeniu do państwa narodowego, nie mają jednak nic wspólnego z jakimkolwiek imperializmem. Zarzut ten przypomina wywody różnych naszych, domorosłych znawców hitleryzmu, którzy z tekstem w ręku wykazują, że Hitler sprzeniewierzył się wskazaniom, nakreślonym w książce „Mein Kampf", ewangelii narodowego „socjalizmu". Czy nasi wielbiciele i naśladowcy faszyzmu chcą przez to powiedzieć, że proklamowane w „Mein Kampf" zniszczenie Francji i Polski, że zapowiedziane tam rozszerzenie niemieckiej „przestrzeni życiowej" kosztem słowiańszczyzny nie było imperializmem? Że stało się nim dopiero wtedy, gdy weszło w stadium realizacji?

Mniejsza o to. Fakt, że p. Piasecki zżyma się dziś na hitleryzm. A to już znaczy bardzo dużo. Lepiej późno, niż nigdy. Zjawisko to należy pokwitować jako oczywisty dowód, że nawet w *tych* sferach rzeczywistość polityczna zrobiła swoje i że nawet *tam* zrozumiano nareszcie istotny sens hitleryzmu jako narzędzia niemieckiej polityki zaborczej (z którą zresztą naród niemiecki nie ma nic wspólnego).

W wywodach p. Piaseckiego uderza raczej inna rzecz. Być może, że artykuł swój pisał on jeszcze przed doniesieniami prasowymi o mediolańskim układzie Włoch i Niemiec. W takim wypadku złożyłyby tylko dowód niewielkiej przenikliwości politycznej. Jeżeli zaś pisał artykuł, znając już wyniki rozmów pp. Ribbentropa i Ciano, to rzecz jest zaprawdę zdumiewająca. Bo oto, potępiając hitleryzm, redaktor „Prosto z mostu" przeciwstawia mu „uczciwy" faszyzm włoski, który nie „zdradził" nacjonalizmu, nie poszedł za zgubnym przykładem swego niemieckiego sojusznika. Tam, u Mussoliniego — zapewnia nas entuzjastycznie p. Piasecki — wszystko jest w porządku: nacjonalizm, jak się patrzy. Coprawda, nie widzimy istotnej różnicy „ideowej" między zaborem Czech czy ujarzmieniem Słowacji, a podbojem Abisynii i Albanii — ale, być może, dla p. Piaseckiego wystarczy różnica ras, jakkolwiek dzielni Skipetarzy napewno nie są gorszymi aryjczykami od Słowian.

Ciepłe słowa naszego nacjonalisty pod adresem faszystowskiej Italii i Mussoliniego budzą zainteresowanie raczej ze stanowiska *polskiego* interesu narodowego. Jakże się tłumaczy panu Piaseckiemu to dziwne (pozornie) zjawisko, że „porządny" nacjonalizm włoski na śmierć i życie zaprzedał się hitlerowskiemu imperializmowi i popiera jego zaborcze uroszczenia względem Polski? Czy to ładnie? Taki porządny, faszystowski nacjonalizm, taki moralny i katolicki (jeśli wierzyć panu Piaseckiemu) podporządkował się antykatolickim zdrajcom nacjonalizmu spod znaku swastyki? Zlekceważył czułe serenady i czołobitne hymny, wyśpiewywane pod adresem Mussoliniego przez polskich wielbicieli faszyzmu? Codziennie w żywe oczy zadaje kłam niektórym publicystom polskim, którzy ze skóry wyłażą, żeby tylko wmówić swym czytelnikom różnice i przeciwieństwa między imperialistycznym, antypolskim i antykatolickim hitleryzmem, a uczciwym, rozmiłowanym w Polsce faszyzmem włoskim?

NIEKIEDY BYWA JUŻ ZA PÓŹNO...

Majowy „Przegląd Powszechny" przynosi interesujący artykuł dra Bitnickiego o Belgii po wyborach. Jak wiadomo, wybory te przyniosły druzgocącą klęskę Leonowi Degrelle, którego faszystowska partia Rex spadła z 21 mandatów parlamentarnych do 4. Ten obiecujący (dla Berlina) młodzieniec, pełen talentów krasomówczych i tupetu, był jednym z wielu zagranicznych pupilków naszej reakcji. W Belgii wiedziano o jego lukratywnych pielgrzymkach do Niemiec — u nas wysławiano go jako przyszłego zbawcę Belgii od masonerii, żydostwa, demokracji i innych plag, gnębiących nieszczęsny ten kraj.

Przyszedł okres znanych sukcesów Trzeciej Rzeszy. Czechy, Słowacja, Kłajpeda. „Nowoczesny" nacjonalizm okazał się wszechniemieckim imperializmem, a jego pionierzy w wielu krajach najemnikami Berlina.

Społeczeństwo belgijskie stanęło w obliczu bezpośredniego niebezpieczeństwa pangermanizmu. Zaczął się gwałtowny odpływ spod sztandarów faszystowskich. Degrellakowi zrzedła mina. Wybory za pasem. Co robić? Jak opowiada p. Bitnicki, niedoszły „wódz" narodowej Belgii poszedł po rozum do głowy i popro-

wadził kampanię wyborczą pod sztandarem walki z... hitleryzmem. Z furią atakował Trzecią Rzeszę, w której tak niedawno jeszcze z powodzeniem szukał brzęczących i szeleszczących „natchnień". Grzmiał przeciw Hitlerowi, którego sławę przed kilku miesiącami głosił po całej Belgii. Nie pomogło. Przegrał wybory. Było już za późno!

Belgia jest krajem zgniłego parlamentaryzmu, w którym zachował się przestarzały obyczaj demokratycznych wyborów...

ZNAMIENNY WYBÓR

Dnia 9 bm. odbyły się na wyższych uczelniach Polski wybory rektorów. Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie jednogłośnie wybrał powtórnie prof. Bulandę. Rektor Bulanda, jak wiadomo, odegrał dość osobliwą rolę w znanych wypadkach na terenie uniwersytetu lwowskiego, które poruszyły całą opinię kraju. Nazwisko prof. Bulandy padło nawet swego czasu w Senacie podczas głośnego przemówienia prof. Bartla o niepokojącej sytuacji na wyższych uczelniach i o dziwnym zachowaniu się niektórych czynników, odpowiedzialnych za spokój na terenie akademickim i za wolność nauki.

Na tym tle ponowny, jednomyślny wybór prof. Bulandy posiada swoistą wymowę.

Światło nie zamiera w ciemnościach

Redakcja „Epoki" otrzymała z Paryża zaproszenie na Konferencję Międzynarodową, wyznaczoną na dzień 13 i 14 maja r.b., a poświęconą rozważeniu palących zagadnień chwili obecnej. Zaproszenie to wystosował b. minister Maurice Viollette, wybitny przywódca Unii Republikańsko-Socjalistycznej, w imieniu własnym oraz w imieniu: światowej sławy myśliciela i pisarza angielskiego, laureata Nobla, Sir Normana Angella i znakomitego fizyka francuskiego prof. Paul Langevain'a.

Z tekstu zaproszenia tego opuszczając momenty personalne, odnoszące się do redaktora „Epoki", przytaczamy istotne fragmenty, mające ogólne znaczenie:

„Konferencja ta zgrupuje najpoważniejszych przedstawicieli myśli całego świata; uczeni, artyści, pisarze, profesorowie i politycy zjednoczą swe wysiłki, aby określić swoje stanowisko, które w obliczu groźby zapanowania pewnych reżimów, winno być stanowiskiem wszystkich ludzi, ceniących swoją osobistą niezależność, a przede wszystkim dbałych o niepodległość swego kraju. Zagadnienia, objęte porządkiem obrad, płyną zarówno z troski o niepodległość narodową, jak i z konieczności obrony cywilizacji, godności, jednostki ludzkiej.

Wysoce poważna sytuacja międzynarodowa usprawiedliwia aż nadto wszystkie te obawy. Tylko zjednoczenie narodów, gotowych do przeciwstawienia się zakusom osi Berlin-Rzym, pozwoli usunąć niebezpieczeństwa, zawisłe nad światem.

W obecnych warunkach stanowisko Polski urasta w naszych oczach do znaczenia symbolu i wzoru. Zaprawdę, mało jest narodów europejskich, tak godnych podziwu, jak Wasz kraj — dzięki decyzji, którą powziął: nieustępowania przed żadnym szantażem, decyzji, że nie ścierpi żadnego zamachu na swoją niezależność materialną czy moralną. Stąd waga ogromna, jaką przywiązujemy do udziału w naszej Konferencji przedstawicieli kultury i myśli polskiej."

* * *

Na to pismo wysłaliśmy odpowiedź następującą:

Do Pana Ministra
Maurice Viollette
w Paryżu.

Drogi Panie,

Otrzymawszy zaszczytne zaproszenie na Konferencję Międzynarodową, organizowaną przez Pana, łącznie z Panem Normanem Angell i Panem Profesorem Paul Langevin, — odpowiadam, że, niestety, osobiście nie mogę w niej wziąć udziału. Nie mogę spełnić powinności każdego miłującego wolność pisarza, gdyż nie pozwalają mi na to codzienne obowiązki zawodowe.

Oddzielony znaczną od Was przestrzenią, jestem jednak moralnie wśród Was i całą duszą łączę się z Wami we wspólnym dziele obrony wolności. Głęboko wierzę, że zjazd Wasz będzie wyrazem dążeń i pragnień całej cierpiącej i zagrożonej przez nowoczesne barbarzyństwo ludzkości.

Wyrażona w Waszym liście, uświęcona przez historię i krwią bohaterów przypieczętowana wiara demokracyj zachodnio-europejskich w polską miłość wolności — i obecnie nie pozostanie zawiedziona. Naród polski, który przez wiek cały walczył pod sztandarami z hasłem: „Za wolność naszą i waszą" — zna cenę wolności, którą równie dobrze znają i Wasze narody. Tu spoczywa niewzruszona pewność, że pokój wolnych i równych, pokój dla wszystkich ludów, będzie broniony aż do wyczerpania wszelkich środków, odpowiadających naszemu wspólnemu poczuciu wolności i honoru. Gdybyśmy jednak, wbrew naszym zjednoczonym wysiłkom, zmuszeni zostali przez faszyzm do orężnej obrony niezniszczalnych, drogich każdemu, narodowych i ogólnoludzkich wartości, — wtedy, w takiej godzinie próby, jak nieraz już w dziejach, znajdziemy się w jednym szeregu.

W tym duchu najgoręcej życzę Waszemu Zjazdowi doniosłych osiągnięć dla dobra naszych narodów i całej ludzkości.

Raczy Pan przyjąć wyrazy mojej żywej sympatii, wysokiego szacunku i poważania

Henryk Lukrec,
redaktor „Epoki".

DEMOKRACJA POLSKA PRZEZ WIEK CAŁY WALCZYŁA „ZA WOLNOŚĆ NASZĄ I WASZĄ". DZIŚ FASZYZM WALCZY „ZA WASZĄ I NASZĄ NIEWOLĘ".

Z spuścizny Wacława Nałkowskiego

Krytyka „Legendy Młodej Polski"

Fragmenty

II

Konstrukcja Brzozowskiego choć w formie jest dość zawiła, filozoficzno - poetycznie górnolotna, miejscami niejasna i wskutek surogatów z przeszłego stanowiska Brzozowskiego niepozbawiona sprzeczności, jednak w swej zasadzie bardzo prosta, zbyt prosta, w szczególności krytyka wad polskich za pozytywna. Jest wskazówka, reglament: bądź energiczny, pracuj, spełniaj swój obowiązek na każdym stanowisku, rachuj tylko na siebie, na siłę swych rąk, na swój rozum. To wydaje się jasne, proste, czemu nie można zaprzeczyć, czemu należy przyklasnąć: „Wołga wpada do morza Kaspijskiego", jak mówi pewien bohater Czechowa; któżby mógł temu zaprzeczyć?

A jednak już to może nas zdziwić, że hasło to nie zbawiło nas dotąd, choć słyszeliśmy je w dzieciństwie, czytaliśmy w powieściach, w programach: praca uszlachetnia, każdy jest twórcą swojego szczęścia. Manchesteryzm, praca organiczna, dzielni inżynierowie. Jako bohaterzy powieści z czasów naszej młodości — Połanieccy, a obok typy biednych ludzi, co „żadnej pracy się nie lękają" — Kanonenfutter przemysłu. Te rady słyszeliśmy nie tylko z książek, słyszeliśmy je wygłaszane i w życiu przez „ludzi czynu". Tak przemawiali przedsiębiorcy „idealiści" do swych pracowników. Słyszeliśmy, jak to pewne przełożone, po przyjeździe z zagranicy, pełne werwy, przemawiają tak do młodocianej nauczycielki, która przyjechała z dworskiej kondycji do lekcji miejskich, ma chorą matkę, młodego brata oddaje do szkoły i musi wziąć dużo lekcji. Przełożona mówi jej: młodzież trzeba kochać, wszystko dla niej poświęcić, zapomnieć o sobie. Młoda nauczycielka, szlachetna dziewczyna bierze do serca te rady tak prawdziwe, proste, szlachetne i umiera na suchoty.

Oh! Bywają nie tylko „smutne świnie", sentymentalne świnie, bywają i „wzniosłe świnie".

I gdzie tu tkwi sprzeczność w tak pięknych i prostych radach Brzozowskiego (który przecież nie jest przedsiębiorcą)? Tkwi w jednostronności: jest to strona odwrotna jednostronności socjalistów, którzy znów wszystko widzą w stronie zewnętrznej, w zmianie warunków. Ale z tych dwu jednostronności, poprawy człowieka i poprawy warunków, druga wydaje mi się lepsza jako wskazówka: w pierwszej z ludzi pracy tylko najlepsi, najwrażliwsi na idee, przyjma taką radę i — zginą: będzie to wybrakowanie najlepszych. Przy drugiej, zmianie warunków, nie sprowadzi tylko mniemanego raju, ale w każdym razie stworzy lepsze pole dla udoskonalenia wewnętrznego. Stanowisko pierwsze jest to formalnie stanowisko Stołypinowskie: „najpierw uspokojenie a potem reforma".

I sam Brzozowski wpadł ze sobą w sprzeczność, mówiac, że to jest prawdą, dobrem, co ułatwia przetrwanie; a zobaczymy co ułatwia w ustroju burżuazyjnym przetrwanie. Nie energia, lecz ekonomizacja sił, nie szlachetność, lecz podstęp i podłość; zobaczymy, jak chłop nasz pracuje, jak się nauczył przetrwania nasz literat, który aby „przetrwać" ma do wyboru dwie „prawdy": albo nieuczciwość prywatną, albo społeczną (zaprzedanie się), często zaś hołduje syntezie.

***

Brzozowski mówi, że postęp jest „iluzją", postępowcy — ludzie, najbardziej obłudni, katolicy zaś — głęboko katoliccy — szczerzy. Umwertung der Werte, co się nazywa! Brzozowski robi wrażenie tego znakomitego ekwilibrysty, który nauczył się chodzić na rękach (chociaż nie po linii największego oporu, jak słusznie zaleca). A chwilami staje na czworakach na dół grzbietem, w którym wyrobił sobie taką kauczukową giętkość, iż potrafi podwinąć tak głowę, że jawi się ona niespodzianie z pomiędzy nóg po tej stronie korpusu na której nigdy nie bywa... Z tej strony kłania się z zadowoleniem publiczności i ironicznie patrzy na postępowców, mających głowy na właściwym miejscu. Dla tych ekwilibrystycznych ćwiczeń Brzozowski przygotował sobie doskonały teren: określił on prawdę jako to, co zapewnia człowiekowi przetrwanie. Ta ekwilibrystyka jest dla Brzozowskiego z pewnością prawdą: ona mu z pewnością zapewni „przetrwanie".

***

Brzozowskiemu z całego „socjalizmu" została najmniej słuszna zasada — niechęć do inteligencji, artystów jako do pasożytów pracy, pasożytów kultury. Więc ci po większej części pariasy życia są pasożytami, nie kapitaliści! Zobacz argumenty gazet w mojej „Sienkiewicziana".

Brzozowski mówi o jakimś pasożytnictwie przyswajania sobie owoców kultury bez czynnego w niej udziału i gdyby pojmował przez to rentierów odcinających kupony, to zgoda; ale on myśli o takich typach jak Anatol France. Ależ przyswajanie sobie kultury, obejmowanie jej całości, udzielanie swych myśli innym, to też jest czynność kulturalna.

Albo Brzozowski może myśli, że i jego praca jest pasożytnictwem?

***

Pragmatyzm, niczym nasza Połanieczczyzna, stworzony został dla „pokrzepienia serc", ażeby wierzyły, iż gdy w życiu doczesnym rozwiną dosyć energii i czujności, to socjalizm nie zdoła im wydrzeć dóbr zagrabionych, — tymbardziej, że zmaterializowanym robotnikom należy wskazywać cele idealne, zaświatowe.

***

Reakcja idealna jest zupełnie uprawniona w pochodzie ludzkości, ale zawiera w sobie niebezpieczeństwo: w jej maskę ubierają się siły ciemne, usiłujące powstrzymać ludzkość w jej pochodzie. Ubiera się w nią reakcja polityczna, despotyzm.

W tych czasach obłudy, gdy uwodziciele są prezesami towarzystw wstrzemięźliwości, gdy gnębiciele odbierają nagrody pokoju, każdy, kto występuje ja-

ko głosiciel takiej reakcji idealnej, powinien się silnie odgrodzić od tych wrogich ludzkości sił.

Podobnie radziłem, gdy wystąpiła „Chimera“: choć miała wiele braków, choć była jednostronna, choć nie uświadamiała sobie związku sztuki ze społeczeństwem, choć mieszała demokrację z burżuazją i grzechy tej ostatniej zwalała na pierwszą, była jednak jasnym promieniem w naszej zatęchłej atmosferze i powinna się była bronić, gdy z racji jej mistyki zaczęły się przyznawać do pokrewieństwa z nią najpodlejsze wsteczne pisma, robiące geszeft na religii katolickiej, antysemityzmie itp.

Brzozowski ani się spostrzegł, że w swym górnym locie zawrócił i zajechał na podwórko Połanieckiego, skłonił się pokornie „irracjonalnej“ Maryni i utknął w swojskiej gnojówce.

**
*

Brzozowski radzi pracę, energię, ratowanie siebie samych, doskonalenie środków technicznych i walkę przy ich pomocy z „pierwiastkiem pozaludzkim“ tj. poprostu z przyrodą. Ależ tak, naturalnie! To złote słowa! Tak złote, że aż banalne, ale stosowane w dzisiejszych warunkach tak „bez zastrzeżeń“ nie różnią się niczym od rad przeciętnego pracobiorcy, który radzi swym niewolnikom to samo.

Wprawdzie i ja niegdyś polecałem ogólnikowo pracę, co Karłowicz powtórzył, ale pominąwszy już, że powiedziałem to przed 20 kilku laty, — rzecz ważniejsza — iż był to jedynie strzęp pozostały po cenzurze, która wykreśliła wszystko, co mówiłem o fatalnych warsztatach tej pracy i o konieczności ich zmiany.

**
*

Nie jestem filozofem fachowym, nie chcę więc tutaj teoretycznie uzasadniać mego poglądu, a to tym bardziej, iż Brzozowski, który tak pogardza „słowem“ i „bibułą“, a czci tylko to, co daje życie, czyn, odbierze mi prawo sądu i odeśle do czytania wszystkich pisarzy, jacy tylko się znajdują w bibliotece florenckiej. Zanim jednak zdążyłbym ja to wszystko przeczytać, Brzozowski może się przenieść do jakiejś innej biblioteki i zmienić swe stanowisko. Będąc niepochwytnym, wreszcie powie jak Marynia Połaniecka: „Bo to tak jest“, ale wydaje mi się, że ten nowy tak zachwalany jako panaceum przez Brzozowskiego kierunek jest zlepkiem starych myśli najrozmaitszych kierunków. Jest to niby nowa pstra armia żebracza z niedobitków, którą bankrutująca ideowo burżuazja chce raz jeszcze przeciwstawić nowej fali — swobodzie myślenia i socjalizmowi.

Nie uzasadniając teoretycznie, przedstawię tu sprawdzian praktyczny: prowadzi on do czci faktu, powodzenia siły przed prawem, pogardy dla idei — w pedagogice zaś prowadzi do rzemieślniczej specjalizacji. Słowem, jest to próba nowego uzasadnienia starych filistersko-burżuazyjnych cnót i poglądów — próba zamaskowania reakcji pod formą postępu.

Choć Brzozowski jeszcze od czasu do czasu pomrukuje na Sienkiewicza, to jednak wydaje mi się, że on go na nowo wprowadza. c. d. n.

Nowy realizm czy fikcja?

W związku z powieścią E. Szemplińskiej rozwinęła się dyskusja na temat nowego realizmu, rozpoczęta przez pp. Jordana i Romanowskiego. W swym ostatnim artykule, umieszczonym w nr 12 „Epoki“, stwierdza p. Romanowski, że dyskusja wybiegła „poza ramy obowiązujących w niej kryteriów artystycznych“. Nie wiem, na czym polegają „obowiązujące kryteria artystyczne“, stwierdzić jednak muszę, że, jakkolwiek daleki jestem od wniosków p. Jordana, musiałem przecież uśmiechnąć się mimowoli, gdy czytałem w artykule p. Romanowskiego wymienione w jednym szeregu nazwiska — z jednej strony: Sieroszewskiego, Choynowskiego, Makuszyńskiego, Kossak-Szczuckiej, Parandowskiego, Ossendowskiego i „z młodszej generacji“ (?!): Jerzego Bandrowskiego, D.-Mostowicza, Worcella, S. Piaseckiego,— a z drugiej strony: Sienkiewicza, Dąbrowskiego, Struga, Kadena-Bandrowskiego i Nałkowskiej. P. Romanowski zastrzega się wprawdzie, że dla ilustracji przytacza kilka „przygodnie wziętych nazwisk“, ale właśnie ta ilustracja jest najlepszym przykładem absurdalności tej metody filozoficznej, jaką stosują obydwaj przeciwnicy: p. Jordan i p. Romanowski.

Nie może się dziać inaczej, skoro krytyka nasza jest tym polem ugornym, po którym harcują krytycy-impresjoniści i krytycy-filozofowie, pośród których głosami na puszczy są głosy krytyków: Stawara, J. N. Millera, Fika. Od czasów Stanisława Brzozowskiego nic się u nas nie zmieniło: ciągłe grzebanie się w „alchemii naszego wnętrza“, czyli ciągłe operowanie fikcjami, opartymi na osobistych mitach-zapatrywaniach.

Co mają właściwie oznaczać określenia: „stary realizm“ faktów i „nowy realizm“ — psychologiczny, wewnętrzny? Jak można mówić o realizmie faktu Prusa, skoro przeżycia psychiczne Wokulskiego rozsadzają opisywane fakty? Jak rozkawałkować twórczość Sienkiewicza na realizm psychologiczny w „Bez dogmatu“ i realizm faktu w całej jego pozostałej twórczości? Powtarza się tu ciągle i pokutuje przesąd „niezależności“ inteligenckiej mentalności od wpływów otoczenia.

Chyba nie trzeba dziś dowodzić, że światopogląd jest uwarunkowany pochodzeniem i środowiskiem: jeżeli ulega bezkrytycznie sympatiom swej sfery — idzie wówczas po linii najmniejszego oporu, jeżeli zaś stara się przezwyciężyć ciążące na naszej psychice urazy, związane z pochodzeniem czy wychowaniem, ma w sobie elementy bohaterstwa.

Nie możemy dziś mówić o jakichś niezależnych artystycznych realizmach, starych czy nowych, lecz musimy rozpatrzyć naświetlenia rzeczywistości w utworze w zależności od podłoża społecznego. O kwestii np. chłopskiej piszą i Prus, i Orzeszkowa, i Wyspiański, i Wasilewska, i Kruczkowski, — czyż podział na nowy i stary realizm coś tu wyjaśnia? Prus ujmuje kwestię chłopską w sposób filantropijny, z wysokości łaskawego liberalizmu drobnoszlacheckiego, Wasilewska zaś i Kruczkowski pod kątem krzywdy socjalnej. Albo np. o miłości

piszą i Żeromski, i Strug, i Dąbrowska, i Kuncewiczowa, i Nałkowska, i Zegadłowicz, i Szemplińska, — czyż można to wszystko wziąć pod jeden strychulec realizmu wewnętrznego, „zstępującego do źródeł świadomości“, leżących w podświadomości?

Sądzę, że najprostszym ujęciem zjawisk literackich jest ujęcie pod kątem widzenia epoki (ideologia), wartości artystycznej i pod względem zasięgu oddziaływania. Zaliczyłbym więc Sienkiewicza, Orzeszkową, Prusa do realizmu drobnoszlacheckiego, Dąbrowskiego, Reymonta, Choynowskiego, Makuszyńskiego — do realizmu mieszczańskiego, Żeromskiego, Nałkowską, Kaden-Bandrowskiego, Zegadłowicza do radykalnego naturalizmu drobnomieszczańskiego, Struga, Wasilewską, Kruczkowskiego, Drzewieckiego — do naturalizmu proletariackiego. /W związku z tym uważam, że należy potraktować dzisiejszy przesadny psychologizm (sięganie do źródeł podświadomości) jako drobnomieszczańskie odchylenie od normalnego rozwoju literatury, która w założeniu swoim jest przecież wyrazem narodowych, socjalnych, zbiorowych zagadnień, nurtujących społeczeństwo. Odchylenie to zostało z konieczności wywołane cenzurą, która niechętnie widzi książki, traktujące w sposób radykalny zagadnienia społeczne. Pozostaje więc literatom sfera grzebania się w realizmie podświadomości, a któż w tym bardziej celuje, jak nie kobiety? Tym się tłumaczy nadprodukcja piór kobiecych w współczesnej literaturze polskiej. Niestety, do tej psychologizującej kategorii zaliczyć wypada i powieść E. Szemplińskiej — mimo całej oryginalności w podejmowaniu tematu. Sympatie ideowe E. Szemplińskiej znalazły, niestety, w jej powieściach bardzo słaby oddźwięk: są bliższe raczej światu drobnomieszczańskiemu, niż proletariackiemu. Śmiem tak twierdzić, chociaż z największą rozkoszą i zadowoleniem czytałem jej książki.

Nie chcę przez to powiedzieć, że uznaję stanowisko p. Jordana, który twierdzi, że „nowy realizm to mistyfikacja, fałszująca i deformująca rzeczywistość“. Określenie to nadawałoby się raczej do prądu romantycznego, boć przecież dzisiejsza literatura postępuje wręcz odwrotnie: bada właśnie reakcję, wywołaną w naszej jaźni przez rzeczywistość. Więc twierdzenie p. Jordana jest tylko poprostu zbyt łatwym uogólnieniem w upieraniu się o swoją rację. Ale też nie do przyjęcia jest sąd p. Romanowskiego. Wyobrażam sobie rozdrażnienie „młodszego“ Jerzego Bandrowskiego, porównanego do D.-Mostowicza oraz Dąbrowskiej, Kadena-Bandrowskiego, Nałkowskiej, figurujących obok Sienkiewicza i A. Struga, który już sam obronić się nie może... Mam wrażenie, że tego rodzaju hierarchizowanie pisarzy wystarczy chyba jako kontrargument, nie wymagający komentarzy.

ZENON WŁADYSŁAW SZCZYGIELSKI

NOWE KSIĄŻKI

Maria Kruczkowska: Sprawiedliwy z Sodomy. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1939.

Bezładne mieszkania, przesiąknięte wyziewami z kuchni, stęchlizną zakurzonych gratów, mieszkania, po których tłuką się swarliwe gospodynie w zatłuszczonych szlafrokach, kłębowisko tysiąca pretensyj do każdego z współtwórców tego małego piekła, rodzina niescementowana miłością i wzajemnym szacunkiem — oto tło wielu powieści dzisiejszej literatury. W otoczeniu, gdzie brak miejsca dla odrobiny szczęścia, jest go poddostatkiem dla wszelakich pretensyj, urazów, żalów rodziców do dzieci i dzieci do rodziców, co z nieubłagalną konsekwencją popycha do wypaczenia charakterów, a w sprzyjających okolicznościach wiedzie do nieszczęścia i zbrodni.

Do tego typu powieści należy książka Marii Kruczkowskiej. Dom Piwońskich wyposażony jest we wszelkie atrybuty, składające się na utarte pojęcie rodziny, prócz jednego — wzajemnej miłości. Dlatego też, jakkolwiek wszystko się tu robi w imię dobra dzieci, w imię dobra rodziny, istotna bezpodstawność tych frazesów nie jest zdolna pogodzić skłóconych, wypaczonych, wiecznie urażających się nawzajem ludzi. To też, gdy zjawia się w domu Piwońskich miłość, ofiarowana z lekkomyślną hojnością obu naraz siostrom przez męża jednej z nich, ich zbyt spragnione miłości serca, nienawykłe do troskliwego pielęgnowania uczuć, nie potrafią rozplątać tragicznego węzła, potrafią jedynie pchnąć do zamordowania człowieka, który wniósł w ich życie niepokój.

Powieść Kruczkowskiej posiada dużo wad. Są w niej niedociągnięcia psychologiczne, stwarzające w konsekwencji konieczność naciągania faktów; są dłużyzny i niepotrzebne babranie się w drobiazgach, a także zbędne operowanie trywialnymi wyrażeniami, spowodowane chyba tylko przekonaniem, że współczesna literatura nie może się bez nich obejść. Na bardzo niskim poziomie stoi humor, reprezentowany przez wytarte kalambury, znane wszystkim i rażące już nawet w mowie potocznej.

A jednak pomimo tych wszystkich usterek — książka Kruczkowskiej, a ściślej — indywidualność autorki, przebijająca poprzez książkę, stawia ją ponad niejednym pisarzem, którego technice pisarskiej nie można nic zarzucić. Sprawia to fakt, że Kruczkowska pisze z jakąś pasją, z pragnieniem wydobycia z nędzy moralnej czegoś, co jeszcze nie jest zupełnie zgniłe, co jeszcze może się odrodzić. W zakończeniu książki, spośród ostatecznego pogrążenia rodziny Piwońskich, wykwita nieśmiało, ale zdecydowanie akt przebudzenia się człowieka w ojcu Piwońskim. Jest coś wzruszająco wzniosłego w odradzaniu się duszy ludzkiej, może dlatego, że zawiera ono w sobie najwyższy wyraz twórczości.

EWA OSTACHIEWICZ

Fryderyk Wilhelm Foerster: „Europa a kwestia niemiecka“. (Tytuł oryginału: „Europa und die deutsche Frage“). Vita Nouva Verlag, Luzern.

Drugie wydanie monumentalnego dzieła jednego z największych filozofów i pedagogów współczesnych ukazuje się w chwili, kiedy totalizm niemiecki wyciągnął macki daleko poza lokalne szranki. Autor nazywa swoją książkę „filozofią kryzysu europejskiego“ oświetlając w niej obok zagadnienia czysto niemieckiego głębokie przemiany duchowe jakie zaszły w Europie na przełomie 19 i 20 wieku oraz konsekwencje wynikłe z tych przemian. Autor łączy osobiste przejścia życiowe z tymi zmianami szczególnie w Niemczech. Wychowany w duchu chrześcijaństwa i niemieckiej filozofii idealistycznej, autor już w młodości swej występował przeciwko tendencjom nacjonalistycznym i militarystycznym nowych Niemiec zjednoczonych w roku 1871. Kiedy w roku 1895 ogłosił na łamach redagowanego przez siebie tygodnika „Kultura etyczna“ krytykę mowy cesarza o Sedanie, został skazany na trzy miesiące twierdzy i pozbawiony godności profesora na uniwersytetach

niemieckich. Wyjeżdża do Szwajcarii i tu rozpoczyna działalność jako reformator na polu pedagogiki i wychowania. W szeregu dzieł pedagogicznych o dużej wartości skreślił swój pogląd na wychowanie młodego pokolenia, stojąc niezłomnie na gruncie etyki i moralności chrześcijańskiej. Wydarzenia ostatnich lat i zmiany społeczno-polityczne, jakie się dokonały w Niemczech, skłoniły go do napisania apologii narodu niemieckiego i potępienia jego przywódców od Bismarcka do Hitlera włącznie. Swój stosunek do polityki streszcza w zdaniu wypowiedzianym ongiś przez Ghandiego: „Występując jako polityk jestem właściwie człowiekiem religii, moja polityka jest niczym innym jak konsekwencją mojej religii“.

W odróżnieniu od innych współczesnych niemieckich pisarzy politycznych na emigracji, Foerster szuka przyczyn obecnego kryzysu politycznego w Niemczech w 19 wieku i dochodzi do wniosku, iż wybujały nacjonalizm i militaryzm pruski epoki Bismarcka stworzył podłoże dla dzisiejszego ustroju niemieckiego. Widząc w Prusakach potomków średniowiecznych Krzyżaków, którzy ogniem i mieczem nawracali na chrześcijaństwo bezbronne ludy, autor stwierdza, iż hegemonia Prus złowrogo zaciążyła na życiu narodu niemieckiego. „Nigdy jeszcze w historii świata — cytuje autor za radcą legacyjnym von Eckardstein — żaden naród nie był tak okłamywany przez swoje koła rządzące, jak naród niemiecki“. Naród niemiecki jest duchowym narodem misyjnym, który odpadł od swej idealnej misji dziejowej zjednoczenia Europy do zgodnego współżycia wszystkich w niej narodów i przez to dał się łatwo wciągnąć do służby czysto materialnych a w końcu zbrodniczych celów państwowych propagowanych przez pruskich mężów stanu, których kategoryczny imperatyw streszcza się w zdaniu „chrześcijaństwo w służbie antychrysta“. Oto dalsza precyzyjna definicja prusactwa: „Wysoko rozwinięta moralność w służbie absolutnej niemoralności, podziwu godny porządek w służbie najstraszliwszego nieporządku (dążącego do rozbicia Europy), organizacja w służbie dezorganizacji, chrześcijaństwo w służbie antychrysta“...

Rozwój nowej Rzeszy kierowany potęgą, inteligencją i państwowością pruską jest sprzeczny z duchem dziejów niemieckich, z prawdziwym powołaniem narodu niemieckiego, z istotą jego charakteru i jego duszy. Dzięki swemu centralnemu położeniu w Europie, dzięki swej funkcji jaką sprawował w obrębie średniowiecznej organizacji politycznej Europy oraz dzięki swemu uniwersalnemu rozwojowi duchowemu, państwo niemieckie miało wszelkie dane ku temu, by stać się ośrodkiem federacji europejskiej. Stało się inaczej: „Nowa Rzesza Niemiecka wyszła z koszar berlińskich. Zamiast stać się ostoją europejskiego pokoju, stała się kamieniem węgielnym europejskiego systemu wojennego... Zdobyliśmy sławę przez to, że wszystkie narody studiują nasze urządzenia wojskowe, a Krupp stał się firmą światową. Gdyby to było misją dziejową Niemiec, stalibyśmy szczęśliwie u celu. Jeżeli natomiast misją dziejową Niemiec jest stać się trzonem federacji europejskiej, to weszliśmy na drogę, która od tego celu coraz więcej nas oddala. Maksyma narzuconej władzy, oderint dum metuant, może w przyszłości spowodować powstanie wielkiej koalicji przeciw nowej Rzeszy, lecz ani jednego wiernego przyjaciela dla niej nie zwerbuje...“

Temu to pruskiemu militaryzmowi, przedstawicielom niemieckiego przemysłu ciężkiego oraz pangermańskim ideologom przypisuje autor wyłączną winę wywołania wojny światowej. Jako logiczną konsekwencję pruskiego nacjonalizmu uważa dzisiejszy hitleryzm. W roku 1914 nie szło o Serbię, jeno o rozszerzenie potęgi niemieckiej w Europie. Autor cytuje obszerną korespondencję między szefem sztabu niemieckiego Moltkem a szefem sztabu austriackiego Conradem von Hoetzendorff, z której dowiadujemy się, że konflikt serbski, który można było w zarodku zlokalizować, stał się dla militarystów pruskich dawno oczekiwaną sposobnością do sprowokowania Rosji do wojny i zrealizowania pangermańskiego hasła parcia na wschód. Wyczyny pruskiego żołdactwa w Belgii, przedstawione przez autora na podstawie istniejących dokumentów mrożą krew w żyłach przy czytaniu. 10000 domów zostało spalonych, 5000 ludności cywilnej zginęło śmiercią męczeńską, wśród tych przeważnie starcy, kobiety i dzieci poniżej lat 10. Pokonane w wojnie światowej, Niemcy sabotują od pierwszej chwili traktaty pokojowe, równocześnie pangermanizm nie daje za wygraną i toruje sobie drogę do władzy. Stworzony przez Hitlera ustrój narodowo-socjalistyczny jest niczym innym jak ostatecznym zwycięstwem prusacyzmu nad duszą niemiecką. Austriakowi Hitlerowi udało się stopić w jedną całość prusacyzm z niemieckością i stworzyć potęgę silniejszą niżli każda z nich pojedynczo. Hitleryzm współczesny tkwi korzeniami w całej przeszłości niemieckiej i jej tragizmie. Od Krzyżaków pierwotnych przejął bezwzględną dyscyplinę i politykę, od Ferdynanda II z czasów wojny 30-letniej nienawiść ku zachodowi europejskiemu, szczególnie Francji.

Wszystkie błędy dyplomacji europejskiej w traktowaniu zagadnienia niemieckiego tkwią właśnie w zapoznaniu współczesnej demoniczności niemieckiej tkwiącej korzeniami w przeszłości dziejowej. Szczególnie Anglii czyni autor wyrzuty, że nie nauczona doświadczenie dziejowym, ciągle jeszcze marzy o powrocie Niemiec współczesnych do społeczności europejskiej. Krytykuje również „pacyfistyczną“ politykę Francji a „pacyfizmowi“ Brianda przeciwstawia dzieło Maginota. Podczas gdy Briand wierzył, iż girlandy Locarna dostatecznie obronią wschodnią granicę Francji, zbudował wzdłuż niej Maginot spiżowy mur z budowli betonowych ciągnący się od granicy belgijskiej aż do Bazylei. Wzbudził tym dziełem czujność narodu francuskiego a niemieckim podżegaczom wojny wskazał, iż szanse z 1914 roku nie powtórzą się więcej. Maginot miał rację. Nie girlandy, iluzje i abstrakcje zapobiegają wojnie, lecz głębokie, moralne i religijne gwarancje, któreby narody duchowo zjednoczyły i poddały wspólnemu dobru najwyższemu, lub też jeśli to się urzeczywistnić nie da, spiżowa czujność.

Taką spiżową czujność zaleca autor wszystkim państwom Europy współczesnej, jeśli nie chcą dopuścić do tego, by na ich gruzach zatriumfowało barbarzyństwo. Książkę swoją dedykuje Foerster europejskim mężom stanu. Nagromadzony przez autora bogaty materiał źródłowy, który na każdym miejscu cytuje, zdolność wyciągania wniosków z procesów dziejowych oraz przekonywująca argumentacja decydują o wartości tego niepowszedniego dzieła.

Dr M. P.

PRAWDZIWYM PRZYJACIELEM „EPOKI“ JEST TEN, KTO POZYSKAŁ DLA PISMA JEDNEGO PRZYNAJMNIEJ PRENUMERATORA.

Książki nadesłane

Wydawnictwa **J. Przeworskiego:**

A. J. Cronin: Trzy miłości. Powieść w 2 tomach. Przekład **Marii Kaczkowskiej.** Warszawa 1939.

Munro Leaf: Fernando. Według tekstu Munro Leafa napisała **Irena Tuwim.** Ilustracje **Roberta Lawsona.**

***

Artur H. Tucholski: Porywy. Powieść. Wydawnictwo M. Fruchtmana. Warszawa 1939.

Rudolf Lessel: Polska leży na wschodzie Europy. W obliczu niebezpieczeństwa hitlerowskiego. Nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik". Kraków 1939.

Henryk Worcell: Zdarzenia w mroku. Opowiadania. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1939.

Józef Szpecht: Wśród fizyków polskich. Seria I. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych we Lwowie. 1939.

Karol Robert Dumas: Ci z drugiego oddziału. Powieść. Przekład z francuskiego Janiny Aleksandrowicz. Instytut Wydawniczy „Plan". Warszawa 1939.

Philip Gibbs: Ulica przygód. Powieść I. Zwycięstwo II. Przełożyła z angielskiego Teresa Rogala-Zawadzka. Inst. Wydaw. „Plan". Warszawa 1939.

***

Wydawnictwa **T-wa Wydawniczego „Rój":**

Mieczysław Szerer: Śmiertelni bogowie. Rzecz o demokracji i o dyktaturze.

Dr Z. Delta: Pamiętnik lekarki.

Ferdynand Goetel: Cyklon. Powieść.

Magdalena Samozwaniec: Piękna Pani i brzydki Pan.

Marcel Proust: Uwięziona. 2 tomy. Przełożył **Tadeusz Żeleński (Boy).**

James Hilton: Zaginiony horyzont. Powieść. Przełożył Witold Chwalewik.

Irena Krzywicka: Ucieczka z ciemności. Powieść.

Jacques Maritain: Nauka i mądrość. Przedłożył **Marian Reutt.**

Allen Roy Evans: Wędrówka reniferów. Przełożyła **Wanda Kragen.**

Roman Fajans: W Chinach znowu wojna.

Maria Mikorska: Derwisze na asfalcie. Od Elburen do Persepolis.

Aleksander Janta-Połczyński: Na Kresach Azji. Ilustrowane zdjęciami autora.

Alfred Neumann: Źródło złota. Przełożyła **Melania Wassermanówna.**

W najbliższych numerach „Epoki" ukażą się między innymi artykuły: Dra G. BYCHOWSKIEGO „O zatruciu nienawiścią" (Céline). R. ST. DOBROWOLSKIEGO „O pozycji Wł. Broniewskiego" i „O Stanisławie Witkiewiczu", ST. CZOSNOWSKIEGO „Start nowoczesnego parlamentaryzmu", JERZEGO BOREJSZY „O prawo do krytyki", JÓZEFA CZERMIŃSKIEGO „Polemika z Wł. Kowalskim". Dzieje współczesne w żywych osobistościach: „O Aleksandrze Heflichu", IGN. WOLSKIEGO „Edward Daladier", Recenzje WŁ. K. BIEŃKOWSKIEGO, M. JORDANA, J. CZERMIŃSKIEGO, WŁ. ROMANOWSKIEGO.

SKAWA.

Pod tą nazwą wychodzi w Warszawie od początku roku bieżącego miesięcznik literacki pod redakcją **Janiny Brzostowskiej.** Zeszyt kwietniowy (Nr 4) zawiera treść następującą: **Stanisław Baczyński:** Świadomość społeczna w literaturze. **Tibor Csorba:** Charakterystyczne cechy literatury węgierskiej. Wiersze oryginalne **Tadeusza Bocheńskiego** i **Jana Koprowskiego,** wiersze **Sergiusza Jesienina** w przekładzie **Jadwigi Ważewskiej.** Dalszy ciąg powieści **Janiny Brzostowskiej** i sprawozdanie tejże autorki ze zjazdu pisarzy polskich na Zaolziu. Przegląd teatralny daje **M. Morozewicz-Szczepkowska.** Nadto w numerze przegląd książek. Adres redakcji i administracji: Warszawa, Nowogrodzka 23 m. 5.

„Epoka" nie jest jednodniówką, lecz myślą ciągłą, przewijającą się przez wszystkie numery pisma. Żeby poznać ducha i ideologię „Epoki", trzeba ją czytać stale.

Demokracja polska
zawsze walczyła
i walczy obecnie
o przyszłość Polski

REDAKCJA I ADMINISTRACJA. WARSZAWA. UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26 630

REDAKTOR przyjmuje w środy i w piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalnie — zł 3.60. Numer pojedyńczy 40 gr.
OGŁOSZENIA za wiersz 1 mm. lub jego miejsce zł. 1.—. w tekście. Za tekstem gr 60

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 467 Zakłady Drukarskie W. Piekarniaka, W-wa, Dobra 58, tel. centr. 644-59 i 592-40.